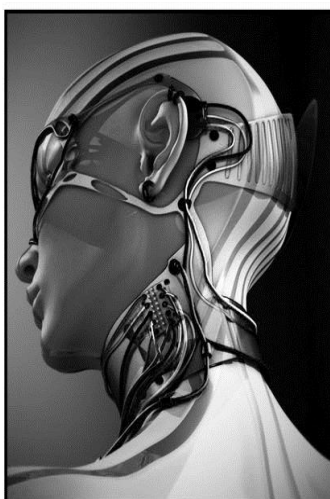


RAY ALDRIDGE



BŁĘKITNA SKÓRA  
i inne opowiadania

waldi0055

# Ray Aldridge

## BŁĘKITNA SKÓRA

i inne opowiadania

zawartość:

**Błękitna skóra**

**Druciarz Ciał i najsamotniejszy człowiek na świecie**

**Frajerski szmal**

**Somanekiny**

**Stalowe psy**

## Błękitna skóra

Margolo przybył do Dilvernoon, ponieważ SeedCorp wynajęła go do kontaktów handlowych z Obcymi. Ja – ponieważ Margolo wykupił mój kontrakt. Miałam w sobie setkę potłamanych i zrosniętych kości, ale nadal byłam piękna. Drugą ulubioną zabawką Margola była Geem, pseudokobieta. Kiedy Margola męczyło już znęcanie się nade mną, Geem potrafiła na nowo pobudzić jego entuzjazm. Projektor Geem zajmował środek naszego dormitorium tak, by mogła obserwować wszystko, co robimy. Nie przenosiłam go nawet w czasie nieobecności Margola, bo nigdy nie miałam pewności, kiedy wróci. Czasami misja zatrzymywała go w Exo-Bios tygodniami, a ja leczyłam rany. Ale często nie było go zaledwie noc lub dwie.

Zawsze zabierał ze sobą małą, platynową kasetkę zawierającą obwody Geem. Gdy nie było ich przez dłuższy czas, zastanawiałam się, jakie nowe rozrywki przygotowywali wspólnie i moja głowa pełna była okrutnych fantazji. To zmniejszało przyjemność chwilowego uwolnienia się od jego obecności.

Oficer SeedCorp pojawił się u mych drzwi we wspaniałym białym mundurze z niewielką zamkniętą torbą. Z powagą patrzył w wizjer kamery bezpieczeństwa.

– Słucham? – wyłączyłam obraz, chociaż Margola nie było od trzech tygodni, a moje sińce zbladły.

– Jestem tu, by zobaczyć się z Delaph, kontraktową towarzyszką Margola Teitcha.

Bestie gorsze od Margola kręcą się po korytarzach, więc kazałam mu odstawić torbę i pokazać papiery i identyfikator.

Potem wpuściłam go.

Powiedział mi, że nazywa się Legba i że Margolo nie żyje. Usiadłam, bez tchu, z głupim uśmiechem na twarzy. – Jak to się stało? – zapytałam.

– Nieporozumienie z ambasadorem Lineanów. Znasz Lineanów? Płazowate plemię. Podobni do korpulentnych, błękitnych żab. Inteligentni, lecz nieobliczalni. O ile mi wiadomo, śmierć miał szybką i bezbolesną. – Podał torbę. – To twoje.

Prawie go nie słyszałam. Z trudem ukrywałam podniecenie. Legba przestąpił z nogi na nogę, jego twarz odbijała kolejno różne emocje: irytację, oburzenie, zdecydowanie. Odchrząknął w końcu. – Na jakie zabezpieczenie – zapytał – pozwolił ci liczyć Margolo w przypadku swej śmierci lub zaginięcia?

– Te zabezpieczenia są przedmiotem kontraktu – powiedziałam, ale już domyślałam się, że coś jest nie tak.

– Czy mogę zobaczyć twoją kopię kontraktu?

Bez słów wyciągnęłam rękę, a on założył czytnik wokół mego przegubu. Na przedramieniu miał miniaturowy ekran i niewiele czasu zajęło mu porównanie mojej kopii z egzemplarzem złożonym przez Margola w SeedCorp. Następnie pokazał mi, w jaki sposób Margolo mnie oszukał, pozbawiając wszystkiego: dormitorium, przydziałów odzieży i żywności, podatków od powietrza i wody, opieki medycznej. Tego wszystkiego, co obiecywał mi w czasie pełnych bólu nocy.

– *Nie pożyczę długo, Delaph – mówił. – Wcześniej, czy później popełnię błąd i coś odgryzie mi głowę. Handel z parszywymi Obcymi jest niebezpieczny. Zaczekaj trochę, a wszystko będzie twoje.*

Często w takich chwilach nie miałam sił odpowiedzieć,

jedynie kiwałam głową.

– Wiem, że nie lubisz tego, co robimy, Delaph – szeptał.

– Ale tak musi być, w przeciwnym razie nie byłabyś mi potrzebna.

– Powiedz mi – rzekł Legba stojąc w drzwiach. – Co sprawiło, że sprzedałaś swój kontrakt takiemu człowiekowi jak Margolo?

Jego ciekawość zaskoczyła mnie.

– Margolo znalazł mnie na jednej z Arek. Czy kiedykolwiek byłeś na Arce, Legbo? Musiałam przedrzeć się przez setki innych dziewczyn, by zaoferować mu swój kontrakt. Wolałabym pójść do publicznego eutanazjum niż z powrotem wrócić na Arkę.

Gdy sobie poszedł, sprawdziłam zawartość torby. Wyjęłam z niej owiniętą w czarną, miękką skórę kolekcję antycznych narzędzi dentystycznych Margola. Był tam też jego identyfikator, z wielką wypaloną dziurą w samym środku, zaplamiony krwią. Na dnie znalazłam platynową kasetkę Geem. Żyłam z dnia na dzień, tydzień po tygodniu, aż mój kredyt prawie się wyczerpał. Cały czas usiłowałam wymyśleć coś, by nie stracić swej wolności.

Sprzedałam wszystko, prócz Geem i narzędzi Margola. Zupełnie nie potrafiłam zrozumieć, czemu ją zatrzymałam. W końcu zaniósłam Geem do handlarza. Zaoferował mi za nią kwotę nie pozwalającą przeżyć nawet trzech tygodni. – Więcej warta jest dla mnie możliwość zniszczenia jej – powiedziałam, a handlarz wzruszył ramionami. Zabrałam ją z powrotem do pustego dormitorium.

Jedyną wartościową rzeczą posiadaną przeze mnie był mój kontrakt. Sprawdzałam oferty w bazie danych, gdy ponownie zjawił się Legba.

Tym razem nie wydawał się tak oficjalny. Gdy go wpuściłam, wyciągnął czarną płytkę wyglądającą jak kasetka pseudoosoby. Nie wyróżniała się niczym, poza kwadratem błękitu na samym środku.

– Dobra nowina – powiedział szczerze. – Przez niedopatrzenie nie cały dobytek twego zmarłego właściciela został ci zwrócony. Najwyższe władze przepraszają cię – i chcą to zrekompensować. – Ściszył głos. – Chcemy, byś była naszym gościem w domach SeedCorp. – Promieniał kładąc mi na kolanach czarny przedmiot.

– Co to takiego?

– Twój zmarły właściciel.

Legba wyjaśnił mi wszystko, jego gładka twarz tchnęła szczerością.

Lineanie zrobili odcisk Margola na wypadek, gdyby pomylili się. Odcisk ten przekazali przedstawicielom SeedCorp, którzy udali się do nich na rozmowy po tym przykrym incydencie.

– Spójrz tu – powiedział Legba, podnosząc czarną płytę i obracając ją. – Zanalizowali konstrukcję pseudokobiety należącej do twego zmarłego właściciela. Geem, chyba tak się nazywała? Zbudowany przez nich interface jest kompatybilny z naszą technologią, rozumiesz. Sprytne żabska. Zatrzymał się i rozejrzał po pomieszczeniu. – Nie masz projektora? SeedCorp pożyczy ci go na tak długo, jak pozostaniesz naszym gościem.

Wstał, by wyjść.

– To niezły kawał roboty. – Ponownie położył mi na kolanach czarną płytę. – SeedCorp dużo by dało, żeby dowiedzieć się, jak tego dokonali. Spójrz – wskazał na błękitny kwadrat. – W chwili śmierci twój właściciel pomalowany był na niebiesko, pozorując misję dyplomatyczną. Lineanie i to źle zrozu-

mieli. Myśleli, że kolor może mieć jakieś religijne znaczenie, a więc go zachowali.

Oczy Legby zabłysnęły autentycznym entuzjazmem.

– Masz, dotknij – powiedział i wziął moją rękę. Dotknął moimi palcami błękitnej plamy. Była ciepła i miękka, i po chwili zdałam sobie sprawę, że to skóra. Wydawało mi się, że drgnęła pod moim dotykiem.

– Tak – powiedział Legba – to skóra. Ale najwspanialsze w tym jest to, że wszystkie zakończenia nerwowe niegdyś rozproszone po całym jego ciele, skupione są teraz na tym małym skrawku. Pomyśl tylko o możliwościach, Delaph. Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, jak tego dokonali. Margolo twierdzi, że nie wie. – Legba rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie. – Ale z niedomówień Lineanów wynika, że kłamie. – Legba po przyjacielsku położył mi dłoń na ramieniu. – Dasz nam znać, jeśli coś o tym napomknie, prawda? Będzie nagroda, znacząca nagroda.

Projektor obiecany przez Legbę zjawił się niemal natychmiast, ale początkowo wcale z niego nie korzystałam. Margolo leżał tam, gdzie go rzuciłam skórą do ziemi, gromadząc kurz na miękkiej powierzchni. Omijałam go z daleka, kręcąc się po dormitorium. Nie mogłam zdecydować się, co czułam. Czasami byłam przerażona, chciałam wepchnąć go w najciemniejszy kąt, zarzucić innymi rzeczami, by już nigdy nie widzieć go i nie czuć pokusy. Ale bywało, że chciałam założyć kasetę na projektor, by naigrywać się z niego, szydząc z jego śmierci.

Ale nie zrobiłam tego. Kilka dni później poszłam do Euforium i znalazłam sobie mężczyznę. Jak tylko wpuściłam go do domu, wiedziałam, że popełniłam błąd. Potem, gdy już leżałam bez ruchu na łóżku, on kręcił się po pokoju, węsząc po



szafkach, zaglądając gdzie się da. Natrafił na kasetę Geem i z okrzykiem radości zapytał, co to. Gdy nie odpowiedziałam, uderzył mnie, ale nie na tyle mocno, by przeciąć skórę. Podszedł do projektora i założył kasetę. Geem przybrała swą postać, naga, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, jasne włosy spływały na jej ciemne, żylaste ciało. Wszystko w niej było ostre: drapieżna twarz, łokcie i kolana jak kościste motyki, małe, spiczaste piersi, paznokcie. Nawet jej pomalowane na czerwono paznokcie u nóg były długie i ostre, jakby była gotowa boso wspinać się po drzewach. Patrząc na mnie pochyliła się do przodu. – Gdzie Margolo? – zapytała ostrym, wysokim głosem.

– Nie żyje – odpowiedziałam i po raz pierwszy tej nocy odczułam przyjemne, prawie seksualne ciepło. Mężczyzna założył potem kasetę Margola. Margolo powstał jak demon, nadal błękitny i nadal noszący na swym pseudocie ślady cierpienia. Włosy miał zmierzwiłone. Wzrok dziki.

Ta dwójka szybko się zaprzyjaźniła.

Wreszcie, prawie o świcie, mężczyzna odszedł. Zamknęłam drzwi i odwróciłam się, by spojrzeć na Margola. Promieniał, uśmiechając się. – Dziwka – powiedział zaczepnie. Wyciągnęłam rękę, by zdjąć go z projektora, gdy dodał szybko: – Zaczekaj. Czy wiesz dlaczego jestem w domu zamiast w Seed-Corp? Z pewnością dziwiło cię to, nie jesteś głupia.

Cofnęłam rękę.

– Dlaczego?

– Bo błagałem ich, by mnie tu nie odsyłali. Pocięli mnie, ale brak im finezji, o mało mnie nie zabili. Tym razem bez zmartwychwstania. „Nie oddawajcie mnie Delaph” – krzychałem. „Och, tylko nie to. Ona zemści się okrutnie” – jęczałem. „Powiedz nam” – mówili – „albo oddamy cię jej”. Nie powie-

działem, więc mnie tu odesłali i teraz ułożymy sobie życie na nowo, prawda?

Śmierć nie dodała mu rozumu. Gdy tak patrzył na mnie, nadal widział ofiarę. Zrozumiałam to nagle z niemal melodramatyczną pewnością.

– Nasz kontrakt jest zakończony – powiedziałam i nagłym ruchem zdjęłam kasetę z projektora, zanim zdążył zrobić z siebie większego głupca, zanim zdołał zdradzić się jeszcze z czymkolwiek.

Znalezienie pluskwy podłożonej mi przez SeedCorp zajęło mi trzy dni. Ukryta była w głębokim rowku na krawędzi drzwiczek komody. Ot, szkarłatna cętka, rubinowa półkula przytwierdzona za pomocą czarnej miniaturowej osłony. Następnego ranka udałam się do rotundy, gdzie maklerzy kontraktowi załatwiali swe interesy. Trzy godziny szukałam kogoś, kto zapłaci dość dobrą cenę. Sprzedałam swój kontrakt maklerowi, reprezentującemu idącego przebojem udziałowca. Miałam sześćdziesiąt dni na wydanie kredytu przed rozpoczęciem nowej pracy.

Makler siedział za biurkiem w kształcie podkowy. Wysoki, starszy pan, pięknie ubrany w starym stylu. Jego wąska twarz była przezroczysta – prawie widać było czaszkę. Miał sztuczne oczy z jasnego metalu.

– Jesteś pewna, że rozumiesz warunki kontraktu, kochanie? Możliwe, że będziesz musiała spełniać swe obowiązki nawet raz na miesiąc przez trzy lata lub do zdarcia. Nie będziemy ponosić odpowiedzialności, jeśli w pewnym momencie rekonstrukcja stanie się niemożliwa. Jesteś pewna? Kontrakt pomocy domowej nie jest tak popłatny, ale mógłby przynieść ci więcej zadowolenia. – Powiedział to astmatycznym, monotonnym głosem, a potem dał mi kabel kredytowy.

Założyłam go na przegub.

– Tak, rozumiem. – Nie dbałam o to. Za sześćdziesiąt dni, tak czy inaczej, albo będę martwa, albo odkupię kontrakt.

Następnie udałam się do Howlytown, gdzie w swych ufortyfikowanych korytarzach mieszkali chipleppersi, a gdzie przedstawiciele SeedCorp nie odważali się wchodzić. Figgatoi, podobnie jak większość chipleppersów, był w znacznym stopniu cyborgiem. Miał jedno ramię z czarnego monomolu, a wokół nadgarstka bransoletę z czerwonych kamieni. Pół jego twarzy było z błękitnego chirurgicznego plastiku. Oczy zostały zastąpione przez szkła powiększające. Za czarnymi soczewkami widać było poruszający je mechanizm. Figgatoi siedział przy ławie pełnej próbek i analizatorów. Popatrzył na mnie wyczekująco. Powiedziałam mu o kamerze.

– Dla nich jesteś nikim – kiwnął głową ze zrozumieniem. Pokazał mi mały mechanizm. – Spójrz, tego ci trzeba. Przyczepisz do komody, tuż obok pluskwy, no nie. Wchłonie w siebie kilka dni z twego życia, a gdy będzie miał dosyć niewinnych obrazków, zacznie syntetyzować – ciąć i sklejać, rozumiesz. Założysz to na pluskwę i będzie karmić tego, co podgląda, zmyślnym życiem, a tymczasem ty zrobisz to, co chcesz zrobić.

Urządzenie kosztowało mnie ponad połowę kredytu. Wracając kupiłam kilka próbek czarnego jedwabiu na wypadek, gdyby SeedCorp obserwowała mnie i zastanawiała się, po co zesłam do Howlytown. Być może SeedCorp uwierzy, że pogrążyłam się w całkowite odrętwienie.

W domu umocowałam urządzenie na drzwiczkach komody, tuż nad pluskwą. Następnie przez kilkanaście dni wiodłam bezbarwne życie. Gotowałam, jadłam, siedziałam wpatrzona w projektor. Pewnego dnia spojrzałam na komodę i

zobaczyłam bursztynowy błysk, światło gotowości. Mogłam przesunąć urządzenie na pluskwę.

Przez chwilę nie robiłam nic innego, tylko cieszyłam się cudownym uczuciem, że nie jestem obserwowana. Potem założyłam kasetę Margola na projektor. Dojrzał do irytacji. Jego rany zabiły się, ale był bardziej wściekły niż uszczęśliwiony.

– Suka – powiedział. – Nie rób tego więcej.

– Czego mam nie robić, Margolo?

– Wiesz, o co chodzi. Nigdy więcej nie zdejmuj mnie z projektora, póki nie skończę mówić.

Zaśmiałam się.

– Bo co?

Twarz mu pociemniała.

– Wiem coś, co SeedCorp chciałaby usłyszeć. Pomóż mi znaleźć kogoś, kto będzie mnie chronił i kto odkupi to, co wiem, a uczynię cię bogatą.

– A cóż to za cenna tajemnica?

Jego twarz stała się jeszcze bardziej zacięta. – Nie powiem ci. Nie musisz wiedzieć.

Tym razem ja śmiałam się przez dłuższy czas, a on krzyczał na mnie, cały czerwony na twarzy, aż musiałam go przyciszyć.

– Czy naprawdę wierzysz w to, że jestem na tyle głupia, by ponownie ci zaufać, Margolo? Nie, będziesz mi musiał powiedzieć, co wiesz, a ja ocenę wartość tego.

Wrzeszczał na mnie, aż oczy wyszły mu z orbit, ale jego przyciszone wrzaski były jak szept. To było zabawne. Podeszłam do skrzyni, gdzie trzymałam małe zawiniątko z ostrymi przedmiotami, jak też niektóre narzędzia dentystyczne. Nachyliłam się nad projektorem, nad miejscem, w którym kaset

leżała małą plamką błękitu do góry.

– Pamiętasz – powiedziałam – jak mi mówiłeś, że ból odsłania nagość duszy? Że ból redukuje nas do nas samych. Czyż nie tak to ująłeś?

Zajęłam się swoją pracą. Eksperymentowałam, póki nie znalazłam na błękitnym skrawku takiego miejsca, którego dotknięcie wyzwalało dreszcze śmiertelnego bólu, aż oczy wychodziły mu z orbit. Wkrótce musiałam ponownie zmniejszyć natężenie dźwięku, jego krzyki przestały być zabawne.

Nie trzeba było długo czekać, by załamał się i wypaplał swój sekret do mego magnetofonu – szczegóły procesu, dzięki któremu Lineanie zdołali pseudoosobę zmienić w żywe ciało, procesu, który uczynił mnie tak bogatą. Resztę kredytu wypłaciłam niezależnej emancypantce. Razem ze mną czekała na nadejście zabójcy przysłanego przez SeedCorp, a potem to ona go zabiła. Strzegła mnie fachowo, gdy negocjowałam prawa do procesu. W końcu wykupiłam jej kontrakt. Nadal jest ze mną, po tylu latach.

Obecnie większość czasu spędzam w posiadłości na Green, planecie doskonałej. Margola trzymam na najwyższej półce, w skrzyni pełnej innych kuriozów. Delikatne światło południa przez cały rok pada ukośnymi promieniami na jego skórę. Przez dwadzieścia lat nie dotknęłam go, ale od czasu do czasu zdejmuję kasetę i zakładam na projektor. I chociaż błaga mnie o jakiegokolwiek doznanie, nawet o ból, nigdy nie odpowiadam. Siedzę i wspominam.

---

## Druciarz Ciał i najsamotniejszy człowiek na Świecie

Miasto Nereus powoli sunęło na wschód po planetarnym morzu Cholder.

Diam Gavagol siedział u szczytu falochronu. Daleko pod jego swobodnie zwisającymi stopami burzyło się morze, wybuchając świecąca pianą. Głębiny pełne były pływających istot, a każdej towarzyszyła struga zimnego ognia.

Znów pomyślał o wślizgnięciu się w nocne wody.

Gavagol opuścił głowę między dłonie i potarł oczy.

Później przepłynęło obok w ciasnym szyku stadko morskich ludzi. Patrzył na tych potomków Miasta, jak baraszkują i wyskakują w powietrze. Uniosła się ku niemu smuga wilgotnego śmiechu.

– Dowcip! – krzyknął w dół swym chrapliwym głosem. – Opowiedzcie mi ten dowcip.

Nie zwracali na niego uwagi i wkrótce ich lśniący ślad zginął za krzywizną ogromnej bocznej powierzchni Miasta.

Westchnął i wciągnął kołowrotkiem linki, które zastawił mając nadzieję schwytać któregoś z syrenów. Błyszczące galaretowate bransoletki nie były chyba dobrą przynętą. Kłopot w tym, że nie miał pojęcia, co lubi lud oceanu.

Jutro w nocy znów spróbuje z czymś innym, moje tym razem szczęście mu dopisze.

Nie chciał skrzywdzić syrenów. Przygotował przestronny basen dla swego gościa. Ale po prostu musiał mieć kogoś do rozmowy. Odizolowanie Miasta doprowadzało go do szaleństwa.

Gdyby tylko chcieli z nim porozmawiać, a nie śmiali się i odpływali. Nauczyliby się go lubić. Wiedział to, po prostu wiedział.

Ranek przyniósł mu parę godzin odpoczynku, choć miał ten nieprzyjemny sen. Czasami unosił się w sterylnym oceanie dryfując pod nieruchomym słońcem, zbyt słaby, żeby płynąć. Albo tkwił przymarznięty do wielkiego pustego płata lodu, pod zimnym, bezgwiezdny, nocnym niebem. Albo widział siebie, jak wolno przemierza nie kończącą się równinę suchego żwiru, zbyt zmęczony, aby zrobić kolejny krok, ale niezdolny stanąć.

Kiedy się obudził, sumienie zapędziło go do biurka w Wieży. Z okien biegnących na obwodzie Pomieszczenia Sytuacyjnego Gavagol widział cały ogrom Miasta. Wielkie fale biegnące w poprzek jego kursu, wzbudzone jakimś odległym równikowym cyklonem, rozbijały się pianą o południowo – wschodni falochron. Miasto reagowało własnym falowaniem, ledwo zauważalnym ruchem, umożliwiającym przez połączenia ocierających się o siebie olbrzymich bloków.

Wieża chwiała się leciutko. Wiedział, że na dole w Mieście, puste hale wypełnione są stłumionym skrzypieniem wiekowych i połączeń.

Wolał odgłosy pracującego Miasta od ciszy spokojnej pogody. Wtedy Miasto wydawało się prawie żywe.

Jego palce zatańczyły po światelkach błyskających na głównej konsoli jak robaczki świętojańskie. Niezliczone czujniki we wszystkich częściach Miasta dostarczały danych, które płynęły do Wieży przed jego zmęczone oczy.

Widział wszystko.

Spadła liczebność armii usuwaczy skorupiaków, która przemierza połączone segmenty kadłuba Miasta. Miasto otworzyło już autofab w celu budowy usuwaczy.

Zapasy pewnych metali spadły poniżej minimum. Miasto otworzyło już zawory wpuszczające wodę morską do urzą-

dzeń ekstrakcyjnych.

Na północ od obszaru temperatur umiarkowanych zawędrował cyklon. Miasto już zmieniło kurs.

Miasto było samoregulującym się mechanizmem, który tak naprawdę nigdy nie wymagał jego interwencji i to stanowiło część problemu. Może jakaś bardziej celowa praca ulżyłaby nieco jego samotności.

Wstrząsnął nim odczyt z Maremmy. Spanglewine, mały pensjonat w tej starej dzielnicy, sygnalizował obecność lokatora. Z kurków ciekło wino, autokucharz wydawał żywność.

Kto to mógł być? W ciągu dwóch długich cholderskich lat, które spędził na pokładzie Miasta, nikt tu nie przybył.

Czy gość jest przestępcą? Handlarzem niewolników?

Spośród licznych dzielnic Miasta Gavagol najmniej lubił Maremę. Szedł szybko wąskimi przejściami ściskając w kieszeni ogłuszacz. Niepokojące malowidła ścienne, nadal barwne po tysiącu lat, straszyły z każdej ściany. Dziwaczne fasady przechodziły w ogródki i niegdyś intymne dziedzińce w niesfornej gmatwaninie obrażającej zmysł porządku Gavagola.

Zajazd stał nad jednym z licznych basenów jachtowych Miasta. Gavagol zatrzymał się, patrząc w zdumieniu. Przy kei stała gwiazdołódź, zacumowana do pachołków ozdobionych głowami gryfów. Na falach laguny kołysał się jej czarny kadłub poznaczony szramami zdobytymi w ciągu wieków. Jej konstrukcja była obca, ten wielopłaszczyznowy walec nie był wizją człowieka.

Zebrał się na odwagę i stanowczo wszedł przez irysowy luk do baru Spanglewine.

Ręka pociła mu się na ogłuszaczu, ale nadal ukrywał go w kieszeni. Przez chwilę nic nie ruszało się w przyjemnym półmroku pomieszczenia. Po chwili Gavagol usłyszał jakieś



szuranie dochodzące zza kontuaru z kamienia perłowego.

– Kto tam? – spytał wyteżając wzrok.

Jedyną odpowiedzią była dalsza szamotanina, a potem brzęk rozbijanego szkła.

Gavagol postąpił bliżej.

– No, no – rzekł. – Co tam robisz? To własność Zarządu. Nie masz pozwolenia.

Zza kontuaru uniosła się powoli niemożliwie wysoka postać i Gavagol mimowolnie cofnął się o krok.

– Pozwolenia? – wysoka postać miała głęboki, zimny głos. – Pozwolenia? Ja tu przychodzę od czasów, zanim jeszcze ocean zagarnął Nerianów. A kimże ty jesteś? – Postać zachwiała się, choć głos nie zdradzał nadużycia alkoholu.

Gavagol przełknął ślinę. – Jestem tu Strażnikiem ustanowionym przez Zarząd.

Tajemniczy gość wydał dźwięk bardzo przypominający starczy chichot. Następnie obszedł koniec kontuaru i wyszedł na światło ostrożnie stawiając kroki.

Gavagol nigdy nie widział człowieka, którego wiek równie trudno byłoby określić. Po mężczyźnie znać było pewne znamiona czasu, miał gładko ogoloną twarz poraną milionem delikatnych zmarszczek, grzywę splątanych siwych włosów pod antycznym kapeluszem z płomienistego aksamitu, oczy głęboko zapadnięte pod grubymi brwiami. Jednak emanowała z niego niespożyta żywotność. Ubranie miał w przestarzałym stylu, ale o wykwintnym kroju. Dłonie smukłe i umięśnione. Usta pełne, czerwone, a śmiejąc się pokazywał mocne, białe zęby.

– Gap się! Wiem, że jestem zjawą!

Oczy Gavagola były szeroko otwarte. – Nie miałem zamiaru pana obrazić.

– Gadanie! Wpadasz tu, przerywasz moją sentymentalną podróż wśród zakurzonych butelek minionego wieku, żądasz listów uwierzytelniających i gapisz się, jakbym był jakimś rzadkim zwierzęciem w zoo. Ale to nieważne. Napijmy się!

Gość uniósł do światła kwadratową butelkę. Potrząsnął nią radośnie. – Chodź – rzekł odwracając się do łoży w rogu, gdzie wpadał przez okno promień bladego słońca.

Ruchy mężczyzny były tak pewne, tak celowe, że Gavagol poddał się im jak zagarnięty prądem ciemnej wody. Usiadł ostrożnie w łoży, ciągle trzymając w ręku ogłuszacz. Głęboko osadzone, błyszczące oczy spoglądały na niego badawczo i Gavagol spostrzegł, że mają absolutnie zdumiewający kolor – karmazynowy.

– Możesz przestać kurczowo ścisnąć tę broń – powiedział gość miłym głosem, wymachując dwiema brudnymi szklaneczkami. Napełnił je do połowy mętnym seledynowym alkoholem i popchnął jedną z nich do Gavagola. – Po pierwsze, nie istnieje żaden powód, abym miał cię skrzywdzić. Po drugie, mam Osłonę. Twoje zdrowie, Strażniku! – przechylił szklaneczkę wypraktykowanym szerokim gestem.

Gavagol wypił ostrożniej: – Wypiłbym za twoje – powiedział – gdybym wiedział, kim jesteś.

Starzec spuścił ciężką pięść na stół, aż podskoczyła butelka.

– Co? – zaryczał potężnym głosem. – Udajesz, że mnie nie znasz? Mnie, Druciarza Ciał, znanego w każdym świecie pangalaktyki?

Gavagolowi opadła szczeka. Czyżby to legenda patrzyła na niego ponad stołem? Zawsze odrzucał historię Druciarza Ciał jako bajdurzenie podróżników. Cóż, może ta niezwykła postać tkwi w szponach barwnej iluzji.

Gavagol przyjął pojednawczy ton. – Och, oczywiście, że słyszałem o panu, kto nie słyszał? A tak nawiasem mówiąc, ja nazywam się Diam Gavagol. E... ee... przepraszam, jak mam się do pana zwracać?

– Wystarczy „sir”. Albo możesz mówić mi Druciarz. Ale nigdy nie nazywaj mnie Cielskiem – Druciarz Ciął przechylił się przez stół, zionąc oparami alkoholu. – Jestem czymś więcej! – znów zachichotał, co było zaskakujące u tak imponującej postaci.

– No... to za pańskie zdrowie, sir.

Znowu wypili. Mętny alkohol był mocny, na dodatek z domieszką jakiegoś szybko działającego halucynogenu i Gavagol poczuł, że świat mu się przechyliła. Oczy Druciarza Ciął rozszerzyły się w ogromne fioletowe dziury w zwiędłym krajobrazie jego twarzy i Gavagol pośpiesznie odwrócił wzrok.

– Ale – rzekł Gavagol – w dalszym ciągu nie wyjaśnił pan, co robi tu, w Mieście Nereus. Zarząd jest trochę przewrażliwiony na punkcie swych zasad.

– Do diabła z Zarządem i jego zasadami! Jestem tu, bo w taki właśnie sposób się zjawiam. Cholder zawsze był ważnym przystankiem na mojej trasie i nie należę do tych, którzy porzucają dochodową tradycję tylko dlatego, że nie ma już ani jednego klienta. Poza tym, po kilku dniach hulanki w moich zwykłych melinach, wyruszę na Ocean Niepodzielny i podgonię trochę roboty. Hę?

– Syrenowie korzystają z pańskich usług? Jak płacą?

– Płacą? Płacą tą samą monetą, co wszyscy moi klienci. Rozrywką! – Druciarz Ciął ryknął śmiechem, brzmiał jak tryumfujący drapieżnik. Następnie utkwiał swe niepokojące oczy w Gavagolu. – Ale czy ty, młodzieńcze, nie potrzebujesz moich usług? Nie masz trochę za blisko osadzonych oczu? Mógłbym

je rozsunąć. Twoim uszom przydałoby się strzyżenie, co?

Gavagolowi zrobiło się nieswojo. – Pańska oferta jest niezwykle uprzejma, ale moja powierzchowność mi odpowiada.

Druciarz Ciał uśmiechnął się grzecznie. – Jak sobie życzysz. Nikomu nie narzucam usług. Tak czy owak, niewiele jest przyjemności w skracaniu nosa. Choć pamiętam, jak kiedyś na Pachysand... – Lecz głos Druciarza Ciał ścichł i starzec ponownie napełnił szklaneczki.

Gavagol zaoponował. – Jeszcze trochę, a znajdę się pod stołem.

Druciarz Ciał zrobił szelmowską minę. – Albo zaczniesz mi wierzyć, co?

– Och, nie. To znaczy, ja panu wierzę.

– Do diabła z tobą! – krzyknął Druciarz Ciał, a jego oczy przybrały nagle dziki wyraz. W kącikach ust błyszczała mu ślina. – Uważasz mnie za starego szajbusa, na tyle bogatego, żeby mieć gwiazdołódź i na tyle sprytnego, żeby wymknąć się dozorcóm. No, nie zaprzeczaj, bo odbiorę ci mowę i osadzę na dnie Oceanu Niepodzielnego jako nocnego węgorza!

Kolana Gavagola zastukały o siebie pod stołem. Nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi, więc milczał, zeszytywniały od alkoholu i ze strachu. Teraz rzeczywiście wierzył starcowi. Naprawdę siedział twarzą w twarz z legendą.

Wściekłość Druciarza Ciał minęła mu równie szybko, jak nim owładnęła. Uśmiechnął się.

– Nieważne, młodzieńcze. Stanowisz jedyne dostępne w Mieście towarzystwo do picia. Będę uważał na swoje zachowanie.

Druciarz Ciał uniósł szklaneczkę w przyjaznym geście.

Gavagol zdał sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy w

ciągu tych wszystkich lat, jakie spędził na Cholder, nie jest samotny. Przestraszony, owszem ale nie samotny.

Wypił, zaczął mówić. Druciarz Ciał słuchał, kiwał głową, wyrażał zainteresowanie, nalewał, gdy poziom w szkle Gavgola opadał zbyt blisko blatu stołu.

Opowiadał o swej pracy, podkreślając z początku wielką odpowiedzialność, jaką ponosił przed Miastem i Zarządem. Ale w miarę, jak stawał się bardziej pijany, zaczął zmierzać w stronę prawdy: że jest niepotrzebnym, ale tradycyjnym dodatkiem, i że spędza czas na obserwowaniu, jak Miasto daje sobie radę bez niego.

Druciarz Ciał wymruczał słowa współczucia i znów nalał. Gavagol wypił jeszcze trochę i zaczął mówić o swej bezsenności. Stopniowo doszedł do samotności.

– Nie ma tu nikogo poza mną. Nikogo. W Mieście nie ma żadnych urzędzeń obdarzonych wolą, więc nie mam nawet robota, z którym mógłbym rozmawiać.

Gavagol wytarł sentymentalną łzę. – To głupie, ale kiedyś spróbowałem mieć przyjaciela. Wszystkie aparaty czyszczące wyglądają tu jednakowo: kwadratowe płyty ze stopami. A jak można zrobić przyjaciela z czegoś, czego nie można odróżnić od wszystkich mu podobnych? To był rzeczywiście głupi pomysł, ale myślałem, że mi pomoże.

Pociągnął jeszcze jeden długi łyk i poczuł, że kręci mu się w głowie. – Wymalowałem mu imię na pancerzu – nazwałem go Ralf. Chyba naprawdę pomagało, mówiłem do niego i robiłem trochę bałaganu, żeby miał co sprzątać, a on wyglądał na zadowolonego. To śmieszne, wiem. Ale parę dni później przeszedł do innej części Miasta albo automaty konserwujące zmyły farbę. Tak czy owak, nie mogłem go odnaleźć. – Po twarzy Gavagola stoczyła się powoli jeszcze jedna łza.

Druciarz Ciał wyglądał na lekko zde gustowanego. – Żałosna historia, przyjacielu Strażniku.

– Wie pan, zazdroścę syreniemu ludowi – ciągnął Gavagol bez związku. – Zawsze kiedy ich widzę, pływają razem śmiejąc się, bawiąc, kochając... wszyscy razem w morzu. Piękny widok, chyba się pan zgodzi? – Mówił niewyraźnie, a powieki niemożliwie mu ciążyły. – W morzu... Czasami oddałbym wszystko, żeby się do nich przyłączyć. – Głowa opadła mu, ocknął się gwałtownie i podniósł oczy na Druciarza Ciał.

Ten pochylał się ku niemu, przesywając go swymi płonącymi karmazynowymi oczyma. – Tak... więc sądzisz, że mógłbyś być wśród nich szczęśliwy?

Gavagol skinął głową, usiłując skoncentrować się mimo rozpraszającego uwagę brzęczenia spowodowanego celadońskim alkoholem. – Tak, możliwe. Wśród syrenów... nie widzi się... wyrzutków.

Twarz Druciarza Ciał stanowiła migotliwą plamę, ale Gavagolowi wydawało się, że dostrzega błysk ostrych białych zębów. Może starzec uśmiechnął się. Głowa znów mu opadła i tym razem uderzyła w stół.

Głowa boleśnie mu pulsowała. Powieki miał zaklejone i długie minuty upłynęły, zanim udało mu się otworzyć oczy. – Co... – głos mu zamarł, bp nie potrafił sobie nic przypomnieć. Dlaczego leży pod tym zakurzonym stołem? Spróbował się podnieść i wszystko eksplodowało bólem. – Och... – jęknął ściskając głowę, jakby chciał uchronić ją przed rozpadnięciem się na kawałki.

Po chwili zaczął sobie pomału przypominać. Alkohol celadoński. Obca gwiazdołódź. Druciarz Ciał.

Mimo bólu usta Gavagola wygięły się w uśmiechu. Słuchał go Druciarz Ciał.

Potem zmarszczył brwi. Czy Druciarz Ciał mówił coś o dacie odlotu? Gavagola ogarnęło poczucie pilnej potrzeby graniczące z paniką. Och nie, nie można pozwolić Druciarzowi Ciał tak szybko odjechać. Nie można, nie można.

Gavagol wstał chwiejnie i zataczając się wyszedł ze Spanglewine w jasny dzień. Światło biło go po oczach, więc jęknął, ale zobaczył, że łódź Druciarza Ciał nadal jest przycumowana do kei.

Wypełniło go poczucie ulgi. Druciarz Ciał jeszcze tu jest. Gavagol odwrócił się, pocierając skronie. Wąskimi przejściami Maremmy wrócił do Wieży, pogrążony w myślach.

Oznajmialnik dzwonił natarczywie. Gavagol siedział nieruchomo, zastanawiając się, czy postąpił właściwie. Lecz po chwili wyprostował się i przybrał tak surową minę, jak tylko potrafił. Ma prawo do towarzystwa, a jeśli go nie otrzyma, to umrze. Przynajmniej tak uważał.

Fioletowa z gniewu twarz Druciarza Ciał wykwitła na ekranie interwidu. Gavagol cofnął się. Oczy Druciarza były szalone, prawie dymiące od natężenia emocji. – Co zrobiłeś? – zaryczał Druciarz Ciał obnażając zęby. – Wpuść mnie, albo skreć ci ten wąty karczek.

Druciarz Ciał był całkowicie przeobrażony i Gavagol pojął, że jego wcześniejsze wybuchy były jedynie łagodną irytacją. Gavagol odzyskał głos.

– Nic pan nie rozumie. Proszę mnie wysłuchać. Nie chciałem pana skrzywdzić. Chciałem tylko, żeby pan trochę jeszcze tu został. Tylko parę dni, a wtedy podniosę znad basenu osłonę przeciwyklonową i będzie pan mógł odjechać.

Twarz Druciarza Ciał falowała z emocji jak twarz w jakimś koszmarze. Przemówił suchym szeptem, o wiele straszniejszym od ryku.

– Ach, tak? Zrobisz mi tę uprzejmość, prawda?

Gavagol spodziewał się gniewu, ale nie tak groźnego. – Co dla pana znaczy kilka dni? A dla mnie to bardzo wiele. Niech pan posłucha, jeśli obieca pan wysłuchać mnie do końca, wpuszczę pana na górę. Na pewno możemy to omówić.

– Och tak, tak, wpuść mnie. Wysłucham cię, daję słowo.

Druciarz Ciał zdradzał straszliwą niecierpliwość.

Gavagol zamrugał oczyma. Dotknął przycisku otwierającego Wieżę. Poniżej hermetyczne drzwi otworzyły się z jękiem i w tej samej chwili Gavagol poczuł nagłą pewność, że zrobił coś strasznie głupiego.

Niemal zanim zdążył odwrócić się od ekranu, usłyszał za sobą Druciarza Ciał i w przebłysku koszmarnej wizji wyobraził sobie, że ten jak jakieś szybkie, dzikie zwierzę wspina się szybem windy. Gavagol zadrżał.

Druciarz Ciał lekko postąpił krok ku niemu z dłońmi zakrzywionymi w szpony, zębami błyszczącymi w pełnym oczekiwania uśmiechu i z płonącymi oczyma.

– Niech pan zaczeka – wysapał przerażony Gavagol. – Powiedział pan, że mnie wysłucha.

– I wysłucham, wysłucham. Będziesz umierał jakiś czas, a ja nie chciałbym, żebyś odszedł, zanim uniesiesz osłonę.

Zanim Druciarz Ciał dosięgnął go, Gavagol podniósł rękę i powiedział głosem cienkim z przerażenia: – Stop, przycisk trupa. Niech pan posłucha...

Druciarz Ciał odsunął się, sycząc z zawodu.

Gavagol zaczął bełkotać. – Nie chcę zrobić niczego wrogiego, ale jeśli zdejmę z tego palec, pański statek... osłona przeciwyklonowa odwróci się i zgniecie go na płask. Rozumie pan?

– Rozumiem. – Zimny głos znów się zmienił, było w nim



ogromne zmęczenie. Druciarz Ciał nagle się uspokoił. Usiadł za biurkiem naprzeciw Gavagola. – Nie zwracaj uwagi na moje wybuchy, Strażniku. Jestem impulsywny.

Gavagol był wstrząśnięty. Jakaś przelotna irytacja – tak, tego, się spodziewał. Ale nie tej morderczej wściekłości. Całe szczęście, że podjął środki ostrożności.

– No więc, Strażniku. Czego właściwie ode mnie chcesz? To wcale nie było konieczne – uporałbym się z tymi twoimi świńskimi oczkami bez przymusu. Chyba ci to proponowałem?

Świńskie oczka? Gavagol. uniósł podbródek. – Już wcześniej mówiłem, że nie mam zastrzeżeń do mojej twarzy – powiedział lodowato. – Miałem tylko nadzieję, że może spędzi tu pan kilka dni. Nie chciałem pana rozgniewać. Ale jestem samotny, bardzo, bardzo samotny. Musiałem coś zrobić.

Druciarz Ciał nie wykazywał ani trochę współczucia. – Popełniłeś błąd, Strainiku. Jeśli będziesz próbował zmusić mnie do pozostania tu, dostanę amoku. Moje emocje biorą nade mną górę to jedna z ujemnych stron tego, że dożyło się późnego wieku. Więc rozwiąż swój problem w jakiś inny sposób.

– Ale pański statek...

– Ten statek jest mi drogi, to mój dom od wielu stuleci – ale i tak wpadłbym w zbyt wielki gniew. – Druciarz Ciał roześmiał się. W końcu mógłbym czymś zastąpić tę gwiazdołódź. A czym ty mógłbyś zastąpić swoje życie?

Gavagol obserwował Druciarza Ciał. Starzec siedział dość spokojnie, ale karmazynowe oczy były lodowate. Druciarz Ciał znów się odezwał. – Słuchaj, mam pomysł...

Druciarz Ciał mówił przekonująco. Gavagol nie mógł się oprzeć temu pomysłowi, ale pamiętał wyraz twarzy Druciarza Ciał, kiedy ten wpadł do Wieży.

Zdecydował się.

– Dobrze – rzekł. – Z wdzięcznością przyjmuję Pańską ofertę. Ale żeby nie było żadnych sztuczek, proszę pamiętać, że przycisk trupa jest na stałe połączony z moim nośnikiem mózgowym. Niech mi pan zmieni umysł, a... no cóż, trzask!

Nozdrza Druciarza Ciał rozdęły się, a twarde usta zaciśnięły w prostą linię. – Nie martw się. Nie podobasz mi się na tyle, żebym ci ustawił mózg.

Przebudzenie było dziwne, w ciemności i smrodzie. Gavagol wyrzucił w bok ręce, tylko żeby przekonać się, że jest uwięziony w przestrzeni niewiele większej od trumny. Kostki u rąk zadudniły o metal. Zapach był tak silny, że aż nierozpoznawalny, zastarzały i organiczny, jak spiżarka nie czyszczona przez tysiąc lat. Gavagolowi krzyk uwiązł w gardle.

Jego ręce były jakieś inne. W ciemności chwycił się za dłonie. Palce miał za długie i wydawało mu się, że są obwieszane workami luźnych błon, a skóra... gładka, wilgotna, całkowicie obca.

Otworzył usta do kolejnej próby krzyku, ale wtedy otworzył się luk zbiornika regeneracyjnego. Ciśnienie wyrównało się z trzaskiem i światło zalało mu oczy. Silne ręce ujęły go za ramiona i wyciągnęły na kozetkę na kółkach.

Podniósł wzrok na Druciarza Ciał. Płonące karmazynowe oczy były pełne dumy.

– Poleż trochę spokojnie – odezwał się Druciarz Ciał uśmiechając się tym swoim drapieżnym uśmiechem.

Przy pierwszej próbie głos Gavagola nie chciał go słuchać. Przełknął wstrętny smak i znów spróbował. – Czuję się fatalnie wychrypiał.

Twarz Druciarza Ciał ściągnęła się. – Zrobiłem dokładnie to, o co prosiłeś: dałem ci morze. I, przypominam ci, bez-

płatnie.

Gavagol podparł się na łokciach i spojrzał po sobie, zafascynowany.

Jego śliska skóra lśniła oksydowaną czernią. Błony układające mu się fałdami na ramionach miały swe odpowiedniki na jego nogach. Stopy były o dwadzieścia centymetrów dłuższe, a smukłe palce kończyły się ostrymi, zakrzywionymi pazurami. Kiedy zobaczył, że jest zbyt gładki w kroku, jęknął słabo i sięgnął na próbę ręką.

Druciarz Ciał, któremu na ten widok wrócił dobry humor, parsknął śmiechem.

– Nie ma zmartwienia. Genitalia wewnętrzne. Przecież ważne narządy nie mogą ci dyndać w wodzie, gdzie może je chapnąć jakaś fauna, co? Szybko się przyzwyczaisz – Druciarz Ciał puścił oko i wszystkie jego zmarszczki zbiegły się razem.

Gavagol rozejrzał się. Kabinę wypełniała gmatwanina dziwnego sprzętu. Wszędzie wisiały tablice dotykowe i ekrany czytników jarzące się cyframi i słowami w dziesiątkach nieznanymi alfabetów. Tu syntezytor DNA gatunku Genchee pokrywał gródź błyszczącą płataniną plazmowodów. Tam falanga starożytnych mikrochirurgów unosiła lśniący gąszcz manipulatorów – samych zaczepów, ostrz i laserów. Do innych komór porodowych ustawionych wzdłuż grodzi były przypawane prowizoryczne stalowe pokręta, tak żeby ludzkie ręce mogły obsługiwać obce zapadki luków.

Gavagol został ponownie zrodzony w obcym łonie, przesyconym przez wieki obcymi sokami. Wzdrygnął się.

– Co znowu? – wydawało się, że Druciarz Ciał jest znów zirytowany. – Jak nie chciałeś mojej pomocy, nie trzeba było o nią prosić. – Jego oczy rozbłysły niebezpiecznie. – Nie jesteś zadowolony? – Głęboki zimny głos obniżył się o pół oktawy,

do zgrzytliwego dudnienia.

Druciarz Ciał zamajaczył groźnie nad Gavagolem. Jego karmazynowe oczy zwęziły się pod drgającymi powiekami: Gavagol opadł na wózek z walącym sercem. Chwila ta rozciągnęła się w nieskończoność.

Druciarz Ciał gwałtownie się odwrócił.

Gavagol odezwał się do jego pleców: – Jestem po prostu zaskoczony. Ale zapomniałem panu wspomnieć... Nie umiem pływać. Druciarz Ciał z powrotem odwrócił się do niego, ciągle najeżony. – Co? A teraz masz czelność kwestionować jakość mojej roboty? Naturalnie wykształciłem ci specjalne sprzężenie synaptyczne, będziesz pływał jak węgorz. Uważasz mnie za debiutanta? A kto posłał ludzi Miasta do Oceanu Niepodzielnego?

Druciarz Ciał chwycił rączkę wózka i wyprowadził go z pomieszczenia porodowego. Gavagol zacisnął dłonie na poręczach wózka pędzącego starożytnymi korytarzami, ale przeszkadzała mu obca długość jego palców.

– Dokąd teraz? – spytał Gavagol płaczącym tonem.

– Mam już dość twoich jęków! – rzekł Druciarz Ciał. Wózek zatrzymał się gwałtownie u progu śluzy powietrznej, ale Gavagol kontynuował podróż w locie, wymachując bezradnie rękami i nogami.

Spadł w lagunę z ogromnym pluskiem.

Przez chwilę szamotał się w chmurze pęcherzyków. Następnie nowe sprzężenie przejęło kontrolę i Gavagol wystrzelił bez wysiłku przed siebie, szybki jak ryba. Rozkoszował się swą siłą, nową zręcznością, chłodnym dotykiem wody na nagiej skórze. Przemierzył błyskawicznie lagunę nabierając tyle szybkości, żeby zupełnie wyskoczyć z wody. Stwierdził, że nozdrza zamykają mu się pod wodą jak u foki i że pojemność

jego płuc zwiększyła się tak, że może swobodnie zanurzać się na piętnaście minut.

Jednak słońce, które świeciło przez grubą, przezroczystą osłonę przeciwcyklonową, zaczęło palić jego wrażliwą nową skórę i Gavagol wśliznął się pod cienisty nawis kei.

Unosząc się na wodzie, obserwował łódź Druciarza Ciał. Luk był szczelnie zamknięty, za rzędem małych iluminatorów, biegnących wzdłuż kadłuba tuż nad dolnym wybrzuszeniem zawierającym silniki pionowego startu, nie było widać żadnego ruchu. Gdy nadszedł zmierzch, Gavagol wypłynął powoli przez służę dla obsługi. W dołku ścisnął go strach przemieszany z radosnym oczekiwaniem.

Kanał wił się między blokami poszycia Miasta, a potem wychodził w morze wzdłuż zakrzywionego falochronu. Ruch Miasta powodował zawirowania przy końcu falochronu i Gavagol przez chwilę miotał się bezradnie.

Unosił się pod powierzchnią i patrzył w dół, w czarną głębię. Wystawił głowę nad powierzchnię i zobaczył przesuwający się obok ogromny kadłub Miasta.

Ogarnęła go panika, Miasto zostawi go samego. Popłynął silnymi ruchami w kierunku Miasta i strach minął, wypuścił fontannę srebrzystych bąbelków śmiechu. W swym nowym ciele z łatwością mógł prześcignąć Miasto.

Uspokojony swymi nowymi umiejętnościami, rozciął wodę zostawiając za sobą fosforyzujący ślad.

Chłodny blask rzadko ukazywał się i ponad falami i Gavagol pomyślał o drapieźnikach przemierzających Ocean Niepodzielny: ogromna zębiasta kałamarnica o długich, najeżonych haczykami mackach, szybka, jadowita łasica morska, ławice żarłocznych rzeźnic.

Popłynął ku Miastu, aby schronić się za jego falochro-

nami, ale złapali go.

Ogarnięty chmurą błękitnego morńskiego światła, stracił orientację. Czuł, jak się o niego obijają, czuł na swym ciele ciekawskie ręce, a potem uszczyknięcie w ramię, gdy jedno z młodych spróbowało sprawdzić jego smak.

Krążące wokół niego stadko syrenów wybuchnęło śmiechem. – Bałem się, że to ławica rzeźnic – powiedział Gavagol próbując się uśmiechnąć.

– Oho, a my baliśmy się, że to ofiara trzęsionki – odezwał się spory samiec poznaczony bliznami po długich sezonach wśród raf łęgowych. Znow śmiech. Głos był wysoki i wyraźny, słowa Standardu miały mlaskający, syczący akcent.

– Trzęsionki?

– Tak, zarazy atakującej meduzy podczas wielkich sztormów. – Ogromny samiec podpłynął bliżej, uśmiechnął się, ale kłapał szczękami wydając odgłos jakby metal uderzał o metal. Oczy płonęły mu jaśniej niż światło morskie.

– Ale to nie pora sztormów, prawda? A i po bliższym przyjrzeniu się widzę, że nie jesteś meduzą. – Samiec mrugnął do swego stada. – Przepraszam. Kim jesteś?

Niecierpliwa młoda samica w girlandzie jedwamuszli powiedziała: – Chodź, Srebrne Grzbiety będą za Ławicą Powitań o wschodzie księżyca. Jeśli się spóźnimy, zaczną polowanie bez nas.

Stadko opuściło Gavagola i odpłynęło na północ. Ruszył za nimi.

Samiec obrócił się w wodzie wzburzonej przejściem stada i rzucił się na Gavagola. Ten się przestraszył, ale zderzenie z ciężkim ciałem było delikatne.

Samiec rzekł: – Ty nie, człowieku! Ty zostań z Miastem, ssij jego wymię, tam twoje miejsce. My wywodzimy swoją linię

od Pierwszych Odmieńców, nasz ród przemierza Ocean Niepodzielny od tysiąca lat. Wracaj do swojego Miasta, zanim wyczują cię rzeźnice, śmierdzisz zbiornikiem.

Tego było za wiele. Oddał swe ciało, aby przystać do nich, a oni tak po prostu go odrzucili. Poczuł narastającą wściekłość. Rzucił się na samca ze szczękami rozwartymi w bezmyślnej napaści.

Oczy samca otworzyły się szerzej, a on sam odskoczył w bok, ale nie dość szybko i Gavagol zatopił zęby w jego ramieniu. Samcowi wyrwał się wysoki, piskliwy wrzask bólu i zaskoczenia.

Jakaś spokojna, odległa część Gavagola była równie zdumiona, kiedy wbijał zęby w gorący, tłusty smak krwi i tłuszczu, kiedy rozrywał mięśnie samca pazurami. Czy to pragnienie rozdzierania ciała jest jeszcze jednym schematem zachowania wbudowanym przez Druciarza Ciał?

Samiec ocknął się z początkowego zaskoczenia i rzucił się na Gavagola, ryjąc linie ognistego bólu wzdłuż jego boku. Wirowali, darli swe ciała i mocowali się w pianie jasnej fosforescencji. Gavagol słyszał przytłumione odgłosy stada, krążącego wokół nich w ciemności, okrzyki zdenerwowania, a potem strachu.

Samiec syczał, zdezorientowany i zły. – Dlaczego, stary człowieku? To niebezpieczne wody...

Nie mógł odpowiedzieć, ale myśl o całych kilometrach ciemnej wody poniżej ochłodziła jego gniew. Oderwał się od samca chwytając powietrze potężnymi haustami.

A potem usłyszał ostrzegawcze okrzyki i spojrzał w dół, zobaczył, jak z czerni poniżej wznosi się, Meduza kałamarnica, zwabiona zamieszaniem i zapachem krwi. Dziesiątki głodnych, jarzących się macek kłębiły się wokół, jej ciała. Gavagol był

sparaliżowany przerażeniem i to go uratowało. Samiec usiłował uciekać i Meduza wystrzeliła ku niemu, przyciągnięta ruchem.

Gavagol po raz ostatni zobaczył samca, jak słabo wyrywał się ze spowijających go macek, gdy Meduza z powrotem opadała w głębiny.

Stado już odpłynęło, ocean był pusty.

Szlochając, uciekł w ślepy przerażeniu z powrotem do Miasta.

Jego jedyną nadzieją było ubłagać Druciarza Ciał, żeby odwrócił swą pracę.

Starzec był taki niedotykalny, tak łatwo się obrażał. Ale jakie miał inne wyjście?

Druciarz Ciał wrócił do swej łodzi późnym rankiem, zataczając się lekko. Gavagol wyskoczył na keję tuż pod stopy starca. Druciarz Ciał odskoczył nieco w tył, zdumiony. – Ach – rzekł. – Widzę, że rozkoszujesz się wodą.

– Nie – odparł Gavagol, niezdarnie gramoląc się na nogi o przerośniętych stopach. – Muszę z panem porozmawiać.

Druciarz Ciał machnął ręką w kierunku trapu. – No to wejdź na pokład. Jestem pobudzony alkoholem, a więc usposobiony tolerancyjnie. Do pewnego stopnia. – Przeszedł obok Gavagola powiewając kosztownymi tkaninami.

Kołysząc się niezdarnie na niezgrabnych stopach, Gavagol wszedł za starcem do łodzi.

Salonik gwiazdołodzi przypominał muzeum niezwykłych, starożytnych przedmiotów. Osobliwości z tysiąca światów walczyły o miejsce z dziwnymi trofeami. Były tam bajeczne zwierzęta, obcy i chyba nawet ludzie. Ekspozyty wystawały z powierzchni jak gdyby zastygłe w momencie przechodzenia przez ściany, spadania z sufitu lub podnoszenia się



z podłogi. Na każdej martwej twarzy malowało się zaskoczenie, jakby to było ostatnie miejsce we wszechświecie, w którym spodziewałyby się znaleźć.

Gavagol usiadł niepewnie na krześle pokrytym zawile wytatuowaną ludzką skórą.

– No, w czym problem? – Druciarz Ciał zapytał uprzejmie. Nalał sobie kieliszek mętnego płynu, ale Gavagolowi nic nie zaproponował.

Gavagol przystąpił do sprawy delikatnie. – Cóż, rozumie pan, że nie narzekam na pańską pracę. To wspaniała robota, jestem przekonany, że najlepsza.

Druciarz Ciał skinął głową aprobująco.

Zachęcony tym Gavagol ciągnął: – Ale obawiam się, że moja... prośba nie była dobrze przemyślana. To znaczy, życie syrena wydawało się cudowne z daleka, ze szczytu falochronu. Ale... zwiesił głowę.

Druciarz Ciał obserwował go w milczeniu przez długą chwilę. – Ale co, Strażniku?

– No... syrenowie nie chcieli mieć ze mną nic do czynienia. Byłem głupi: próbowałem zmusić ich, żeby wzięli mnie z sobą. – Ciągnął powoli. – I stała się straszna rzecz.

Druciarz Ciał zmarszczył brwi i Gavagol pomyślał, że dostrzega na tej twardej, starej twarzy ślad zrozumienia. – A więc, Strażniku, czego chcesz?

Gavagol zaczerpnął głęboko powietrza. – Chcę mego dawnego ciała.

– I to wszystko? Nie wymusisz na mnie spełnienia żadnej innej „prośby”? Uwolnisz mój statek?

Gavagol skinął skwapliwie głową. Druciarz Ciał wstał gwałtownie. – Zastanowię się nad tym. Gavagol zerwał się na nogi, z obnażonymi, zębami i czując narastający w głowie

ucisk. – Niech pan pamięta, że mogę zgnieść pański statek jak robaka... mogę... ja...

Druciarz Ciał obserwował go czujnie, jego dziwne karmazynowe oczy były tak niezgłębione jak Ocean Niepodzielny.

W umyśle Gavagola powstał obraz: przerażona twarz samca, gdy Meduza wciągała go w ciemność. Poczuł, że gniew w nim opada tak szybko, jak się zrodził.

– Przepraszam – rzekł pokornie. – Dziękuję za rozważenie sprawy. – Następnie wyszedł, kołysząc się w sposób jak najdostojniejszy.

Gavagol obserwował z Wieży, jak dziwny statek Druciarza Ciał pędzi niby strzała, zostawiając na morzu srebrny kilwater. Oparł się o framugę okna, przyciskając dłonie do szyby. Swoje ludzkie dłonie.

## Frajerski szmal

Brzytwa świsnęła mu koło szyi. Bilobi poczuł, jak rana otwiera się bezboleśnie i wypływa z niej ciepły strumyk. Do gardła podeszła mu fala gorąca, w nozdrza uderzył zapach krwi.

– Spokojnie, druciku! – wyszeptał gangster. – Nie chcę cię więcej ciachać, ale może mi drgnąć graba, kapujesz?

Drugą ręką gangster zaczął przetrząsać kieszenie Bilobiego, wydobywając z nich po kolei spiczasty nóż, zwitek światłowodów i granaty oślepiające – najpotrzebniejsze narzędzia i amulety mające go chronić przed innymi brutalnymi facetami, kręcącymi się po złomowisku. To minie, myślał Bilobi, starając się zachowywać możliwie najspokojniej. To nic wielkiego. Byłem już w gorszych tarapatach. Po chwili sam zaczął w to wierzyć.

Na spiętrzonych wysoko stosach leżały miliony lśniących, metalowych ciał. Od czasu do czasu w ostatnim spaźmie nie do końca wyczerpanej baterii zagrzechotała jakaś ręka lub noga. Poza tym na złomowisku panowała zupełna cisza. Wzrok Bilobiego powędrował w górę, ku szczytowi wysokiej, stalowej ściany, której zadanie polegało na bezpiecznym oddzieleniu tego miejsca od reszty świata, a także na tym, by uwięzić ludzi wegetujących tu dzięki temu, co udało im się wydobyć z wnętrza groźnych kadłubów. Za wypukłą szybą kabiny obserwacyjnej nie siedział dziś żaden inspektor. Cokolwiek się za chwilę zdarzy, nikt nie będzie tego widział. Bilobi powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech.

Gangster szarpnął za spinającą pasy klamrę i plecak z narzędziami upadł z łoskotem na ziemię. Pchnięty niespodziewanie Bilobi potknął się o zardzewiały korpus i rozciągnął jak

długi, natychmiast przekreślił się na plecy i spojrział w górę.

Ganger był chudy, łysy, miał poczerniałą skórę i białe oczy. Na jego zapadniętych policzkach widniały bladozielone, wytatuowane spirale i trójkąty, a nad tymi określającymi przynależność do konkretnego gangu znakami po dwie ukośne, jaskraworóżowe blizny, wkomponowane w świeższe tatuaże. Były ganger, który teraz działa na własną rękę i jest z tego dumny, pomyślał Bilobi.

– Teraz pogadamy, druciku – oznajmił eks-ganger. Machnął brzytwą, która przecięła ze świstem powietrze. – Leż spokojnie. Łapy na wierzchu. Jak się nazywasz?

Bilobi westchnął ciężko.

– Bilobi.

– O ciebie mi chodziło. Wszyscy gadają, że jesteś dobry. Najlepszy fachman na złomowisku. Podobno nawet mógłbyś złapać robotę na Zewnątrz. – Ganger wzruszył ramionami. – Mnie to wisi. Wołają mnie Spill. Na razie gadaj, o co spytam. Wiesz, co to jest? – Z kieszeni swojej pomarańczowej, skórzanej kurtki wydobyl pojemnik na chipy. Poprzez gruby, przezroczysty plastik Bilobi dostrzegł rubinowy poblask. – Kostka świadomości. Najważniejszy chip, nie? Zaczynasz kapować? – Spill zerknął ostrożnie na boki i schował kostkę do kieszeni. – Całe złomowisko pełne żelastwa, druciku, do niczego, żadnych podstawowych kostek. A ja teraz mam jedną, bardzo proszę! Wiesz, co zrobimy, druciku? Będziemy wskrzeszać martwych!

Oni nigdy niczego się nie nauczą, pomyślał Bilobi.

– Nie da rady – powiedział na głos, potrząsając głową. – Za duże ryzyko. Nie ty pierwszy mnie o to prosisz, ani nie ty pierwszy wpadłeś na ten pomysł.

Wskazał w kierunku wiszących na ścianie żelaznych klatek, za których czarnymi prętami widać było wyraźnie

spoczywające w dramatycznych pozach, zmumifikowane ciała.

Spill zbliżył się o krok. Brzytwa zafurkotała w powietrzu.

– Nie złapią nas. Ty poszukasz dobrych kadłubów, poskładasz do kupy, a potem weźmiesz moje chipy, wsadzisz im i mamy gotowy Produkt! – Ganger uśmiechnął się szeroko, odsłaniając uzupełniane górskim kryształem zęby. – Produkt, kapujesz? Wiesz, jak ludziska czekają na lewe żelaźniaki? Różne sado, macho, świrusy, zbrojeńcy, mówię ci! Znam handlarzy, nie będzie problemu z opchnięciem. Pójdzie każda ilość.

Bilobi ponownie pokręcił głową.

– Nie da rady. Mnie jest dobrze. Mogę legalnie grzebać w śmieciach i jakoś sobie radzę. Nie mam zamiaru skończyć tam, na ścianie.

Przed oczami pojawił mu się zapamiętany widok: ubrany w łachmany, wrzeszczący człowiek, uciekający przez złomowisko przed mechanikami z firmy, od ściany do ściany, w tę i z powrotem. Kiedy wreszcie go złapali, wsadzili do klatki i kiedy pręty rozżarzyły się do czerwoności, Grego był już zbyt wyczerpany, żeby krzyczeć. Zaczął dopiero trochę później, głosem, którego nie sposób było zapomnieć.

Uśmiech, który wypełził na twarz Spilla, zamienił się we wściekły grymas. Brzytwa zaczęła świstać raz po raz przed nosem Bilobiego.

– Wolisz tu zgnić, koleś? Ile zarobisz na tych swoich silniczkach, jak masz dobry tydzień? Cztery stówy? Pięć? To frajerski szmal, druciku. Frajerski szmal! Mieszkasz w norze, żresz byle co, nie masz n i c! Daj mi dobry kadłub, błyszczący, wyszykowany, a dostaniesz pięćdziesiąt razy więcej! Czysta robota, łatwa forsa. – Jego białe oczy płonęły podnieceniem. –

Nie bądź frajerem, druciku. – Na wąskiej, pokrytej tatuażem twarzy zaczęły zbierać się groźne chmury.

– Dobrze gadasz, Spill. Rzeczywiście, nic nie mam – odpowiedział pośpiesznie Bilobi, starając się go udobruchać. – Faktycznie, żyję jak pies, ale nie myśl sobie, że gdybym mógł, to nie robiłbym czego innego. Mieszkam tu już długo i wiem, jak wszystko działa. Po drugiej stronie ściany kontrolerzy usuwają kostki świadomości, a potem dźwig przerzuca kadłuby na naszą stronę. Najczęściej siła upadku jest tak wielka, że nie ma co zbierać, a jeżeli już, to co najwyżej jakieś małe silniczki, uzwojenia, niektóre czujniki, ale...

Spill kopnął go podkutym butem, łamiąc mu zebro. Kiedy ból trochę przycichł, Bilobi ponownie spojrzał w górę.

– Nie prowokuj mnie, druciku – powiedział nieco spokojniejszym tonem eks-ganger. – Z tysiąca wraków na pewno zrobisz sto nówek. Jak opchniemy pierwszy, będę miał tyle chipów, ile nam będzie trzeba. To jest niesamowita forsa, Bilobi, i nie próbuj mi wtykać ciemnoty. Teraz będziemy współnikami.

Bilobi zdołał wreszcie złapać dość oddechu, żeby przemówić.

– A jak chcesz go przemyścić przez kontrolę?

– To pestka. Jak już zobaczę, że chodzi i gada, rozmontujesz go na kawałki i włożysz do normalnego transportu części. Łatwe, co?

Bilobi uśmiechnął się ze współczuciem.

– Chyba nie słyszałeś o szperaczach. Wślizgują się w każdy zakamarek, badają wszystkie części, aż nie nabiorą całkowitej pewności, że nie będzie można z nich niczego zmontować. – Wskazał na ścianę. – Widzisz Grego? To ten po prawej, z włosami na czaszce. Próbował właśnie w ten sposób.

Spill na chwilę stracił pewność siebie, lecz niemal natychmiast ją odzyskał.

– Więc rozdzielimy części na kilka transportów.

– Trzymają wszystko w rejestrach po kilka lat. Właśnie dlatego tyle trwa, zanim sprawdzą każdy transport. Jak myślisz, dlaczego istnieje tak ogromny popyt na nierejestrowane żelaźniaki? Bo trudno je zdobyć. Do licha, gdyby udało mi się stąd jakiegoś wydostać, byłbym idiotą, jeślibym chciał go sprzedać. Pomyśl tylko, jakie masz wtedy możliwości: siedzisz sobie spokojnie pod okiem kamer, a twój żelaźniak w tym czasie zarabia dla ciebie forszę i nikt nie może ci niczego udowodnić. Nie dziwię się, że różni nadziani faceci zapłacą za takiego prawie każdą cenę. Ale wydostać go stąd... Naprawdę, nie mam pojęcia, jak by można to zrobić.

Spill przypatrywał mu się zmrużonymi oczyma, poruszając od niechcenia brzytwą.

– Nie próbuj robić mnie w konia, druciku. Musi być jakiś sposób. A może zamontować takiemu żelaźniakowi jakieś uchwyty albo haki, żeby sam mógł wleźć na ścianę? Każdy klient wzięłby takiego z pocałowaniem ręki!

– Wcale nie robię cię w konia. Nie, to też nic nie da. Na szczycie ściany mają zainstalowane generatory pól siłowych. Rozwałą go na kawałki, a potem zrobią test na obecność DNA – przecież dotykam wszystkich części, kiedy je montuję – i będą nas mieli. Właśnie w taki sposób złapali Malone’a, tego, co wisi tuż nad Grego. Wygląda trochę dziwnie, bo przed wsadzeniem do klatki obdarli go ze skóry. Mówię ci, Spill, oni naprawdę traktują to bardzo poważnie.

Ganger zamrugał raptownie powiekami.

– Nie! Musi być jakieś wyjście! Zrozum, Bilobi, tego chipa dał mi nie byle kto, tylko prawdziwy twardziel. Jak mu nie

zorganizuję żelaźniaka, jestem trup! Dołoży mi gorzej niż mechanicy. Jeśli mówisz prawdę, to będę musiał pociąć cię na kawałki, żeby to do mnie naprawdę dotarło. – Ganger machnął wściekle brzytwą, która zaświergotała w powietrzu.

Bilobi poczuł ukłucie żalu, a potem ogarnęło go inne, znacznie cieplejsze uczucie.

– Dobra, dobra, przekonałeś mnie. Może da się coś wymyśleć. Masz jakąś forsę?

– Trochę.

– Doszły do mnie kiedyś plotki o facecie z ekipy kontrolnej, którego można czasem przekupić, jeśli ma się dość szmalu. – Powiedział to kłamstwem znużonym, zrezygnowanym tonem. W rzeczywistości ekipy kontrolne składały się wyłącznie z niewolników o odrutowanych mózgach, zainteresowanych tylko tym, żeby przez przewody nie popłynęły impulsy pobudzające ośrodki bólu.

Spill miał wyraz twarzy człowieka, który najpierw się zgubił, a potem przekonał, że jest znowu na znanym sobie terenie.

– A widzisz! – zachichotał. – Czeka nas kupa forsy, druciku! – Pomógł Bilobiemu wstać na nogi i otrzepał mu kurtkę z kurzu, cały czas jednak trzymając brzytwę w pogotowiu. – Mówię ci, kupa forsy. Będziemy bogaci, kupimy sobie nowe ciuchy, ekstra żarcie, przeprowadzimy się do Enklawy i w ogóle. Nieźle, co?

– Pewnie. – A teraz trzeba to zwalić na jego głowę, pomyślał. – W takim razie, jaki masz plan? Zajrzysz do mnie, jak uruchomię pierwszy egzemplarz?

Spill zmrużył swoje białe oczy.

– Nie rób ze mnie idioty, druciku, bo cholernie mnie to wnerwia. Jak cię puszczę, to skąd będę wiedział, co robisz?



Nie, będę cię pilnował, dopóki nie skończysz. Zostaję z tobą. Zaprowadź mnie do swojej nory, druciku, tylko bez żadnych sztuczek!

– Dobrze, dobrze. – Bilobi podniósł z ziemi plecak z narzędziami i ruszył przed siebie. Odwróconą od eks-gangera twarz wykrzywił mu złośliwy grymas. „Niezależnie od tego, co ci przynosi życie, staraj się to jak najlepiej wykorzystać” – tak zawsze mawiał stary Grego, ale okazało się, iż był zbyt głupi, żeby zorientować się, dokąd musi go zaprowadzić takie postępowanie.

Dotarli do usytuowanego u podnóża sterty rdzewiejących robotów strażniczych wejścia do nory. Spill zamknął brzytwę i schował ją do kieszeni, wyjął natomiast mały pistolet.

– Ty pierwszy, druciku. Pamiętaj, że zawsze zdążę cię tym załatwić. – Uniósł ostrzegawczo broń.

Bilobi wsunął się do wnętrza przez otwór, a Spill tuż za nim.

– Ładną masz norkę, aż dziw bierze. Widziałem gorsze w Enklawie – powiedział, rozglądając się powoli dookoła. – Proszę, proszę, tylko otwierać interes. Kto by to przypuszczał?

W pokoju o lśniących, metalowych ścianach znajdował się puszysty dywan i wygodne meble, a wszystko to oświetlone delikatnym, przyćmionym światłem. W kącie, pochylony nad szachownicą, siedział nieruchomo robot o sześciu zakończonych różnymi narzędziami ramionach, pod ścianą stał inny, półgąsienicowy, z manipulatorem wyposażonym w laserowy palnik, obok niego zaś telekomunikacyjny, składający się niemal wyłącznie z najróżniejszych ekranów, czujników i przełączników. Za sklepieniem łukowato przejściem blask różnych lamp padał na robota rolniczego, obstawionego ze

wszystkich stron zielonymi tackami z roślinami.

– Powiedz no, druciku, im wszystkim brakuje tylko tego jednego chipa? – zapytał Spill, uśmiechając się szeroko z niewinnym zachwytem.

– Obawiam się, że nie – odparł Bilobi.

Eks-ganger wyczuł, że coś poruszyło się w ciemności za jego plecami i usiłował się odwrócić.

Cindilou zaatakowała z nadludzką prękością. Chwyciła Spilla za gardło, zgmiotła ściskającą pistolet dłoń na krwawą galarete i uniosła go wysoko, wierzgał rozpaczliwie nogami, usiłując krzyknąć, lecz tchawicę miażdżyła mu elegancka, stalowa dłoń.

Bilobi podszedł do Cindilou i pogłodził ją po białym ramieniu. Spill wpatrywał się w niego wybałuszonymi oczami, ale z jego szeroko otwartych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Przedstawiam ci Cindilou – powiedział Bilobi. – To dziewczynka do zabawy, którą odbudowałem na podwoziu robota-mordercy i wsadziłem w naturalną skórę. Jest piękna, prawda?

Spośród wszystkich żelaźniaków, które wskrzesił, najbardziej lubił właśnie ją. Bardzo żałował, że nie może przechadzać się z nią po złomowisku. Gdyby mógł, przestaliby go wreszcie dręczyć tacy osobnicy jak Spill. Ale obserwatorzy z usytuowanych na szczycie ściany kabin nigdy nie mogą dowiedzieć się o jej istnieniu, a poza tym ludzie pokroju Spilla dostarczali mu chipów, dzięki którym jego życie stawało się coraz przyjemniejsze.

Cindilou spojrzała na Bilobiego błyszczącymi, bursztynowymi oczami. Na jej bladych ustach pojawił się pełen oczekiwania uśmiech.

Skinął głową.

– Tylko za bardzo nie nabrudź.

Skręciła Spillowi kark na tyle, żeby go zabić, lecz nie rozrywając żył i tętnic. Kiedy ustały konwulsje, Bilobi wyjął z kieszeni eks-gangera nowy, lśniący chip.

– Mam go wrzucić do szatkownicy kompostu? – zapytała Cindilou słodkim, delikatnym głosem.

– Jasne. – Wążąc w dłoni kostkę rozejrzał się z namysłem po pomieszczeniu. – Jak myślisz, co powinniśmy sobie teraz zbudować? – Skinął dłonią i z głośników robota telekomunikacyjnego rozległy się dźwięki radosnej muzyki, robot ogrodniczy zajął się ponownie doglądanie pomidorów, szachista zaś wykonał ruch pionem. – Już wiem! Dobrze gotujesz, podobnie jak Harald, kiedy tylko uda się odciągnąć go od szachownicy, ale... Co byś powiedziała na naprawdę znakomitego kucharza? – Roześmiał się. – Frajerski szmal, co?...

I oblizał usta.

## Somanekiny

Pustelnik Berner wspinał się do swojej świątyni, jak to czynił co rano o wschodzie słońca. Pałaca słoneczna tarcza wznosiła się zwawo ponad otaczające góry. Kiedy Berner dotarł na szczyt wzgórze, dolinę wypełniło rażące światło. Świątynią był posąg z brązu – naga kobieta naturalnej wielkości. Leżała na wznak na szarym gładzie, z rozpostartymi nogami i rękami wygodnie założonymi za głowę, uśmiechając się do nieba. Jej drobne piersi wieńczyły małe, ostre noże.

„Ze śmierci w życie, z życia w śmierć: te same drzwi” – modlił się tak szybko, że znajome słowa zlewały się w jedną całość. Przyłożył czoło do gładkiego brzucha świątyni, wciąż zimnego po pustynnej nocy. Wkrótce świątynia będzie zbyt gorąca, aby jej dotknąć, co było przyczyną, iż odprawiał swoje modły o świcie.

Pociągnął policzkiem po metalowej powierzchni, próbując sobie przypomnieć, jakie to było uczucie dotykać prawdziwej kobiety. Nie doznał niczego poza uczuciem abstrakcyjnego obrzydzenia, w dziwny sposób zmieszanego z nieuchwytną tęsknotą. „Jesteś tu za długo, za długo, za długo” – powiedział do siebie, tak jak to robił każdego ranka. Stanowiło to część rytuału, tak samo jak modlitwy.

Po chwili Berner oderwał się od świątyni i zszedł na dół na plantację strączkowej posoli. Wziął motykę i pracował wśród sztywnych jak druty pnączy, dopóki blask słońca nie nabrał niebezpiecznej intensywności. Wtedy wycofał się do swojej jaskini.

Ściany i podłogę pokrywały brunatne maty z włókien posoli. Na końcu jaskini pluskał wesoło chłodny strumyk. Berner był właścicielem hamaka, małej biblioteczki świętych

ksiąg i dobrej medjednostki. Rozejrzał się po swoim wygodnym schronieniu i poczuł przyływ rozpaczliwej nudy.

Wziął sobie do stołu miskę posoli. Jeżeli nawet rzadka, szara papka posiadała z początku jakiś urok, straciła go po trzydziestu latach braku odmiany. Była jednak pożywna, a strąki plonowały bez większych starań. Wlepił wzrok w miskę.

– Czego bym nie dał za pomidora – powiedział. – Albo nawet za cuchnącą dynię. A nienawidziłem dyni! – Westchnął i zmusił się do jedzenia.

Właśnie układał się do snu w swoim hamaku, kiedy usłyszał huk obniżających lot silników. Jaskinia zadrżała, kurz opadł z mat. Pognał do wyjścia. Wyjrzawszy na zewnątrz, ujrzał na skraju poletka posoli przysadzisty, czarny statek gwiazdny, schodzący w dół w kwiecie pomarańczowego ognia.

Statek gwiazdny stał cicho w blasku południa. Pnącza posoli pod statkiem tliły się przez chwilę.

Nic więcej się nie stało.

Berner wkrótce wycofał się do jaskini, gdzie panował względny chłód.

Późnym popołudniem znowu zapuścił się do wylotu jaskini. Słońce wciąż zwałało z nóg, żar podnosił się drżącymi falami od czerwonej gleby. Berner patrzył przez długie minuty, ciężko dysząc w ognistym powietrzu, ale nikt nie nadchodził.

W godzinę po zapadnięciu ciemności, gdy powietrze było chłodniejsze, a bezksiężycowa noc buchała gwiazdami, zdawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk dochodzący ze statku. Krzyk? Czy w ogóle coś słyszał? Jaki dźwięk mógł przeniknąć zbrojony kadłub?

Niedługo potem luk statku obrócił się i opadł, otwierając się.

Od pojazdu rozwinął się pneumatyczny pomost. Schodzący po nim mężczyzna robił imponujące wrażenie. Miał na sobie czarną połyskliwą skórę i tunikę ze srebrnych nitek. Był wysoki i gibki, z jego ruchów biła nieodparta pewność własnej siły. Twarz zakrywała mu maska ze złotych i srebrnych mikrołusek – proteza przymocowana bezpośrednio do mięśni twarzy, równie ruchliwa jak skóra, którą zastępowała. Jej rysy były nieprawdopodobnie szlachetne, nieludzko regularne.

Berner ostrożnie wyjrzał z jaskini.

Gość wykonał swobodny gest pozdrowienia i postąpił naprzód.

– Dobry wieczór – powiedział donośnym głosem, równie pięknym, jak jego maska.

– Dobry wieczór, panie... – głos Bernera załamał się.

Gość uśmiechnął się, maska zamigotała w świetle gwiazd.

– Piękna noc. To na pewno jedna z rzeczy, które wynagradzają ci pobyt tutaj. Gdzie, jeśli wolno spytać, są twoi towarzysze?

Berner nie był przygotowany na tak bezpośrednie pytanie i odpowiedział otwarcie:

– Nie ma tu nikogo poza mną. To pusty świat.

– Doprawdy? To skandal. Nie czujesz się samotny? – Pośrodku maski błyszczały ciemne oczy, głos wyśpiewywał dalej.

– Ale, gdzie moje maniery? Nazywam się Warven Manolo Cleet, obywatel Dilvermoon, obecnie w podróży celem odpoczynku i odświeżenia. A ty?

– Eee... Brat Berner, świecki czciciel Srogiego Misterium. – Berner zawahał się przez chwilę. Wymagano od niego czegoś więcej, odczuwał to tak silnie, jakby Cleet szarpał go niewidzialnymi hakami. – Och! – powiedział w końcu. – Zechce pan

wejść?

– Więć jesteś tu sam. Nie miewasz gości?

Cleet rozsiadł się dumnie przy stole Bernera. Bez wahania zajął jedyne krzesło.

– Statek wahadłowy Misji zatrzymuje się tu co pięć lat.

Cleet pochylił się w napięciu do przodu.

– Ach tak? Kiedy statek ostatnio tu zawitał?

– Rok temu. Słyszał pan o Srogim Misterium?

– Owszem – odparł Cleet, odprężając się. – Słyszałem o waszej sekcie. – Na metalowych wargach drżał szyderczy uśmiech. – Wielbicie bożka... nagiego demona, zgadza się? Leżącą kobietę o rozchylonych nogach, z nożami zamiast sutek. Uważacie seks za śmiertelny grzech. W najbardziej dosłownym sensie. Czyż nie tak?

– Świątynia jest alegorią, nie bożkiem. – Mimo iż tyle razy wątpił, Berner poczuł się urażony ugrzecznioną pogardą Dilvermoonczyka. – To prawda, uważamy, że uprawianie seksu z kobietami samo w sobie stanowi karę.

– A co z uprawianiem seksu z mężczyznami?

– Różnica teologiczna jest tu niewielka. Mężczyźni używają siebie nawzajem jako kobiet. W naszym przekonaniu szczególne fizjologiczne nie umniejszają grzechu.

– Rozumiem. – Cleet najwyraźniej czynił wysiłki, aby się nie roześmiać. – Dlaczego jesteście pustelnikiem? Inni członkowie twojej sekty dobrze prosperują w zamieszkałych światach.

Cleet dotknął teraz czułego miejsca. Berner zacisnął szczęki i odwrócił wzrok. Gość w końcu wybuchnął śmiechem, brzmącym jakoś niemiło, pomimo całej srebrzystej doskonałości tonu.

– Rozumiem. Co z oczu, to z serca, tak to sobie wymyśliłeś? Czy okazałeś się szczególnie czuły na kobiece wdzięki?

Szczególnie słaby w swej wierze? – Oczy Cleeta błyszcząły.

– To nie powinno pana interesować, obywatelu Cleet – wycedził sucho Berner.

Cleet pochylił się do przodu i nieruchome kontury jego maski zafalowały niczym stopiony metal, migocąc niemożliwymi do odczytania uczuciami.

– Mylisz się. – W ręku Cleeta pojawił się nerwopał.

Wycelował w pierś Bernera. Berner, przerażony, wpatrywał się w broń.

– Nie mam nic, co warto by ukraść...

Cleet wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Myślisz, że jestem złodziejem? – zachichotał gardłowo, potrząsnął głową. – Nie, nie. Podoba mi się, kiedy inni mi służą, a ty jesteś jedynym sługą, na którego mogę liczyć w tym brzydkim małym światku, a więc... musisz poświęcić się nowemu misterium.

Berner cofnął się.

– Przykro mi, nie mogę wziąć na siebie żadnych dodatkowych zobowiązań. Moje modlitwy... praca w polu...

– Teraz ja jestem twoim bogiem, pustelniku – powiedział Cleet. Pociągnął za spust nerwopału.

Berner poczuł się nagle jak potępieniec. Koszmar zaatakował wszystkie jego zmysły. Dźwięk nie do opisania rozszarpywał mu uszy, przeszywał mózg ostrzami ohydy. Cleet przybrał postać tak odrażającą, że nigdy potem nie mógł przypomnieć sobie jej kształtów. Usta wypełniał mu smak robaczywej zgnilizny, dławił się wyjątkowo ohydny smrodem. W jego nerwach krzyczał ogień dygocącymi falami agonii. Rzeczywistość zniknęła. Nie istniało nic prócz bólu, wypełniał cały wszechświat po brzegi i trwał tak długo, aż Berner zapomniał, co było jego źródłem.



Kiedy to się skończyło, leżał na podłodze w kałuży wymiocin i moczu i był innym człowiekiem.

- Zmieniłeś zdanie? – zapytał Cleet.
- O tak – powiedział Berner.

Cleet pozwolił Bernerowi obmyć się i włożyć inną suknię, po czym zabrał go na statek.

Wnętrze pojazdu urządzone było luksusowo, z grubymi dywanami i ścianami w delikatnych pastelowych barwach. Wolnoobrotowe pole schodowe w centralnej studni statku uniosło ich do pomieszczenia na dziobie. Tu ściany były z czystego stopu metali, usiane soczewkami holoprojektorów. Z jednej strony umieszczono metalowe drzwi z iluminatorem z pancernego szkła.

Środek podłogi zajmowało okrągłe, plastikowe łóżko wodne. Leżała na nim naga kobieta z udami poplamionymi krwią. Nie poruszała się, ale oddychała.

- Twoje pierwsze zadanie – powiedział Cleet i wskazał leniwym gestem na kobietę. – Obmyj ją węzłem i zanieś do medjednostki na dole w ładowni. – Zwrócił ostre spojrzenie na Bernera. – Trzymaj swój kolec w spodniach, pustelniku. Albo raczej pod suknią. Tak, tak, wiem o waszych religijnych zakazach, którym, jak sądzę, jesteś nadal wierny, ale ostrzegam – z pewnych moich udogodnień nie mam ochoty korzystać wspólnie z pomocnikiem.

- Nie tknąłem kobiety od trzydziestu lat – powiedział Berner.

- Właśnie to wzbudza mój niepokój – stwierdził Cleet.
- Uśmiechnął się krzywo i wyszedł.

Berner stał przez chwilę w ciszy, zmieszany, zastanawiając się, jak bardzo świat się zmienił w tak krótkim czasie.

Spojrzał w dół, na kobietę. Była blada, matowosrebrne

włosy miała krótko obcięte, harmonijnie umięśnione ciało, pełne piersi, dość wąskie biodra. Pod jej skórą wykwitwały sińce. Pachniała krwią i potem.

Jedno ramię nienaturalnie wygięte przygniatała sobą. Nachylił się i odwrócił, aby uwolnić ramię. Dostrzegł błysk metalu na jej karku – owalną powierzchnię implantu przyłączającego psychokłębek.

– Bestialstwo – powiedział do siebie Berner ze wstrętem.

Rozejrzał się po pokładzie. W ukrytej ściennej szafce znalazł nawinięty na szpulę wąż. W wiadrze znajdowała się szczotka z miękkim włosiem i dozownik mydła.

Kiedy nacisnął przycisk, wytrysnęła ciepła woda. Tak delikatnie jak umiał oczyścił oblepiający ją brud. Kiedy skończył, skierował wąż na resztę pomieszczenia. Dotknął innego guzika i z węża powiało ciepłe powietrze.

Wkrótce była sucha. Podniósł ją, a ona legła nieruchomo na jego piersi. Jej skóra miała wspaniałą jedwabną miękkość, na co starał się nie zwracać uwagi.

Wszedł na pole schodowe i został przeniesiony na dół do ładowni. W rogu pomieszczenia stała duża medjednostka.

Położył kobietę na płycie medjednostki. Poczuł lekkie muśnięcie osobliwego uczucia. Zmarszczył brwi. Czy to możliwe, aby chciał przedłużyć chwilę tego ciepłego kontaktu?

– Nie oszukuj się, bracie Bernerze – wymamrotał. Opuścił płytę do wnętrza komory diagnostycznej. Stał przy okienku medjednostki, przyglądając się, jak pijawki czujników pełzną po ciele, szacując uszkodzenia. Tablica odczytów rozbłysła na krótko bursztynowymi światłami ostrzegawczymi, ale szybko przybrała stałą, chłodną, żółtozieloną barwę. Berner uśmiechnął się.

– Powinieneś być zadowolony – powiedział Cleet.

Berner podskoczył, odwrócił się i zobaczył Cleeta, stojącego tuż przy nim. Cleet nachylił się, zajrzał przez iluminator.

– Tak, powinieneś być zadowolony. Musimy mieć nadzieję, ty i ja, że wyzdrowieje. Gdybym potraktował ją odrobinię za ostro i gdyby umarła – wtedy być może musiałbym skorzystać z twojego żyłastego ciała. Chociaż byłaby to przykra zamiana. Ta medjednostka jest dostatecznie dobra, aby implantować interfejs kłębka... i poczynić wszelkie inne zmiany, jakich bym sobie życzył. Cóż, masz przynajmniej dobre kości. – Cleet zamrugnął groteskowo, jego maska zaiskrzyła się. Wyciągnął rękę i dotknął policzka Bernera. Berner cofnął się.

Cleet przeniósł uwagę na kobietę.

– Śliczna mała z tej mojej Candypop. Nieprawdaż? – zapytał. – Klon pasażowy. Jej matka komórkowa była królową piękności w jakimś zabitym deskami agroświecie. Pomyśl tylko – milion farmerów odłożyłoby swoje widły od gnoju, żeby starać się o nią – a ona jest moim własnym somanekinem... – Cleet westchnął. Najwyraźniej posiadanie kobiety nie cieszyło go już. Odwrócił się do Bernera.

– Chodź. Pokażę ci twoje mieszkanie.

Berner ociągał się.

– Jeżeli pan pozwoli, wolałbym swoją jaskinię.

Maska Cleeta przybrała nieludzki i niepojęty wyraz. Szarpnął ramieniem i w jego drżącej dłoni pojawił się nerwopał. Berner zwiesił głowę.

– Jak pan sobie życzy – odezwał się słabym głosem.

Usiłował ukryć gniew, ale nie ukrywał strachu.

Maska Cleeta zafalowała, odzyskując na powrót człowieczy wygląd. Nerwopał zniknął.

– Mądrze – stwierdził.

Cleet zaprowadził go do kabiny.

– Zaczekasz tutaj, aż cię zawołam – nakazał i wyszedł.

Drzwi zamknęły się za nim ze szczęknięciem zamka.

Berner nacisnął kłamkę, nie był zaskoczony, że nie ustępuje. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Na jednej ze ścian wisiała obita płótnem koja, w kącie był zlew i toaleta. Ciemny widekran nad drzwiami dopełniał umeblowania. Z płyty nad jego głową padało światło, po minucie przygasło przechodząc w słabą czerwoną poświatę.

Berner położył się na koi i czekał, aż przyjdzie sen.

Długi czas potem poczuł potrzebę odprawienia swych modłów.

Najwyraźniej nadszedł poranek.

Płyta świetlna rozjaśniła się. Dziwne, pomyślał. Wczoraj o świcie poszedł na górę do świątyni i modlił się jak przez ostatnich dziesięć tysięcy poranków. Usunął kurz z pnączy posoli, zebrał najdojrzalsze strąki. Ten rytuał powinien być się powtarzać do chwili, kiedy ułoży się do snu po raz ostatni.

Wyobrażał sobie, że jego dawne namiętności ostygły doszczętnie w pustce tego świata, że jego zauroczenie ciałem zagubiło się w trybach mijających powoli niezmiennych dni i nocy.

Pomyślał o kobietach i zapytał siebie, czy nie był wielkim głupcem.

Mijały godziny. W końcu widekran zapalił się i na Bernera spojrziała złocistosrebrna twarz Cleeta.

– Obudziłeś się?

– Tak – odparł Berner, siadając na koi. – Czy mogę wrócić do mojej jaskini? Jestem trochę głodny. Mógłbym tam zjeść śniadanie albo przynieść tutaj zapas posoli, jeśli by pan tak

wolał – nienawidził tonu służalczości w swoim głosie, ale wciąż bał się nerwopału.

Cleet uśmiechnął się, jego twarz była dziwnie pozbawiona wyrazu.

– Nigdy nie wrócisz do swojej jaskini, pustelniku. – Wolno potrząsnął głową. – Ale możesz wziąć sobie śniadanie w jadalni, ja już zjadłem. Kiedy skończysz, przyjdź na górę, na pokład astrogacyjny. Porozmawiamy.

Ekran zgasł i drzwi otworzyły się z westchnieniem.

Berner odnalazł jadalnię, podłużną kabinę naśladowującą krzywiznę kadłuba statku gwiazdowego. Wzdłuż zewnętrznej ściany biegł wąski pasek ciemnego szkła pancernego. Berner spojrział przez szkło. Pnącza posoli omdlewały z wdziękiem w rosnącym upale, a czarny wylot jaskini zdawał się utraconym rajem, nieznośnie słodkim we wspomnieniu. Bernera zdjęła tak gwałtowna żałość, że oczy mu zwilgotniały. W końcu odwrócił się.

Na samym końcu sali stał kontuar zawalony brudnymi naczyniami. Berner usiadł za kontuarem. Odsunęły się osłony, odkrywające terminal autokuchmistrza. Zamówił coś o nazwie proolie, co okazało się ugotowanym ziarnem, oprószonym gorzką, żółtą przyprawą.

Kiedy skończył, ustawił naczynia w sanityzerze. Podszedł do pola schodowego i poszybował w górę, docierając w końcu na pokład astrogacyjny, który był ściśle połączony z mrugającym przenośnikiem.

Cleet stał przed półkulą z przydymionego pancernego szkła, spoglądając na pustkowie z zadumą wygładzającą jego maskę.

– Powiedz, pustelniku – powiedział, zwracając się do Bernera – czy potrafisz prowadzić cywilizowaną konwersację?

Berner stał splatając ręce w zakłopotaniu.

– Nie pamiętam – odezwał się w końcu. – Minęło wiele czasu.

Cleet zaśmiał się.

– Jesteś przynajmniej uczciwy i skromny, to dwie zalety przydatne osobie o twojej pozycji – chociaż takie przymioty wydawałyby się groteskowe u osoby z moją pozycją. Nie uważasz?

Bernerowi nie przychodziła do głowy żadna bezpieczna odpowiedź.

– Nic nie szkodzi – odparł Cleet. – Nie będę oczekiwał od ciebie zbyt wiele. A więc: powiedz mi, w jaki sposób się tu znalazłeś? Bądź zwięzły, bądź dokładny, bądź zajmujący. – Maską Cleeta nie wyrażała teraz żadnych uczuć. – Siadaj – rozkazał, wskazując na ławę biegnącą wzdłuż kadłuba poniżej rzędu otworów składowych.

Berner usiadł. Nie znajdował w pamięci żadnych słów. Cleet obserwował go wyczekująco, z oczami falującymi żywieniem w zimnym metalu maski. W końcu Berner przemówił:

– Przybyłem tu trzydzieści lat temu...

Cleet przerwał mu natychmiast.

– Pomyśl tylko! Trzydzieści lat strawionych na niczym.

Ale opowiedz mi o swoim życiu, zanim tu przybyłeś. Pamiętaj, masz mnie zabawić.

– Spróbuję...

Cleet odwrócił się, zdawał się skupiać uwagę na pustkowiu na zewnątrz.

– Mów.

Berner odchrząknął.

– Byłem górnikiem na Silverdollar...

Cleet znowu przerwał.

– Silverdollar. Czy to nie ten zimny świat? Lód i śnieg? Jakie bestie żyją na Silverdollar?

Berner przypomniał sobie pola lodowe, unoszące się dymy, odległe białe słońce.

– Wiele zwierząt żyje na lodzie – powiedział. – Wędrowniki, morskie rysie, białe lwy śnieżne... Zabiłem jednego mojej ostatniej zimy na Silverdollar. Przedał się przez zabezpieczenia ponad moim obwałowaniem i podszedł, szukając pożywienia i ciepła. Zaskoczył mnie śpiącego w łóżku...

Cleet zachichotał, rzucając mu spod oka szybkie spojrzenie.

– Z przyjaciółką? Oho. Oto więc mamy przyczynę twego religijnego zapału. Jakie to banalne, jakie oczywiste, jak przypomina złą zmysłodramę. Ona bez wątpienia nie przeżyła, i ta tragedia pchnęła cię w chude ramiona Srogiego Misterium. Czy nie tak było?

– Mniej więcej. – Odezwały się wspomnienia: odgłos sapiącego zwierzęcia, nieświeży smród jego oddechu, zęby szarpiące ciało. Wstrząsnął nim dreszcz.

– W porządku, oszczędź mi szczegółów. Twoja kochanka umarła, ponieważ wpadła w złe objęcia, a nie dlatego, że seks jest zły, nie rozumiesz tego? – Cleet mówił z irytacją, powracając wzrokiem na pustkowie. – Opowiedz mi o lwach śnieżnych. Jak wyglądają?

Berner otrząsnął się ze wspomnień.

– Tak naprawdę niezbyt przypominają lwy, są długie, chude i bardzo szybkie. Ważą do tysiąca kilogramów, a starsze samce dochodzą do dwóch metrów w kłębie albo i więcej. Pod pewnymi względami przypominają wydry, jeżeli można sobie wyobrazić wydrę, która poluje na małe wieloryby. To znaczy,

nie te prawdziwe wieloryby, ale zwierzęta zajmujące ich niszę...

– Mniejsza o wieloryby. Jak rozmnażają się lwy śnieżne?

– Odbywają tarło w bagnach wokół gejzerów, jeśli się dobrze orientuję, rodzą wolno pływające larwy. – Mówiąc to Berner rzucił okiem w stronę najbliższego otworu składowego. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył wystający z otworu w zasięgu ręki uchwyt nerwopału Cleeta. Spojrzał na Cleeta, który sprawiał wrażenie, jakby o nim zapomniał. Nie, pomyślał. To pułapka, to zbyt łatwe. Czy Cleet byłby tak nierozważny? Nie. Nerwopał był z pewnością rozładowany albo w inny sposób niezdatny do użytku.

– Mów dalej – warknął Cleet.

– Przykro mi, nie jestem biologiem. – Zmusił się, aby nie spoglądać na nerwopał.

Cleet zasyczał z irytacji.

– Jesteś równie głupi jak ja groźny. – Poruszając się z zawrotną szybkością wyciągnął nerwopał z otworu. – Zajęło ci pięć minut, żeby go zauważyć, a potem się przestraszyłeś. Podejrzywałeś pułapkę? Tak? I co z tego? To była szansa, twoja jedyna szansa, a ty nic nie zrobiłeś. Co z ciebie za trzęsąca się galareta!

Berner zwiesił głowę. Cleet miał rację, powinien był spróbować.

Głos Cleeta stał się łagodniejszy.

– Oczywiście pojąłeś, że jest mało prawdopodobne, abyś przeżył służbę u mnie. Czy nie stało się dla ciebie jasne, jaką mam naturę? Więc czemu nie skorzystać z szansy? Dlaczego nie? Każde inne zwierzę skorzystałoby z takiej szansy.

Cleet otworzył kolbę nerwopału, wysunął komórkę zasilania. Wskaźnik ładowania zabłysnął jasną, jadowitą zielenią.



Cleet wsunął ją z powrotem do środka, z trzaskiem złożył kolbę. Berner spoglądał tęsknym wzrokiem na nerwopał.

– No cóż, miałeś rację – powiedział Cleet. – To była pułapka, byłem ciekaw, czy naprawdę pojąłeś, gdzie jest twoje miejsce. W żadnym razie nie zdołałbyś osiągnąć nerwopału przede mną. Jestem dla ciebie o wiele za szybki. Posiadam najlepsze modyfikacje mięśniowe, jakie można dostać za pieniądze.

Wycelował z nerwopału, jego palec drżał na spuście.

– Mógłbym ukarać cię za twoje tchórzostwo – powiedział.

Jego maska wyrażała teraz spokój, chłodny i pełen dystansu. Berner, na wpół odwrócony, podniósł ręce w bezcelowej obronie. Cleet wykonał ręką błyskawiczny ruch i nerwopał zniknął.

– Jednak nie zrobię tego, nigdy nie pozbyłbym się stąd tego zapachu. Poza tym teraz, kiedy wiemy, jakim jesteś tchórzem, będziemy wszyscy mogli się odprężyć, nieprawdaż?

Oddech Bernera zabrzmiał jak westchnienie.

– Jesteś słabym zwierzęciem, pustelniku, ale wszyscy jesteśmy zwierzętami, niczym więcej, a czasem mniej. – Cleet znowu patrzył na pustkowie. – Często mniej. Zwierzęta żyją, kopulują, umierają, bez żadnej refleksji nad czasem, który ma przyjść i nad czasem, co mija. Pałą się jaśniej niż większość myślących stworzeń. Dziwi cię moja pewność? W takim razie pokażę ci, co mam na myśli. Idź i przyprowadź Candypop. Jest za różowymi drzwiami w ładowni.

– Dokąd mam ją przyprowadzić? – zapytał Berner, czując się kompletnie pokonany.

– Do łóżka, oczywiście.

Berner zastukał do ciężkich metalowych drzwi, ale jego

kostki nie wydały niemal żadnego dźwięku. Drzwi otworzyły się jednak natychmiast i stanęła w nich wciąż naga Candy pop.

– Tak? – powiedziała dźwięcznym kontraltem. Zauważył, że jej oczy mają barwę czystego, ciemnego bursztynu i że jest o wiele piękniejsza niż mu się przedtem wydawało. Biła od niej witalność – zaskakująca w tych okolicznościach.

– Cleet mnie przysłał, żebym cię przyprowadził – wymamrotał.

– W porządku – odparła. Kiedy nie poruszył się od razu, ujęła jego ramię w mocnym uścisku i obróciła go w kierunku pola schodowego. – Nie pozwólmy mu czekać – powiedziała. – To byłaby głupota.

Ruszyła w stronę pola długimi, pełnymi wdzięku krokami.

Berner przyspieszył, aby dotrzymać jej kroku.

– Przepraszam – powiedział, kiedy weszli na pole i unosili się w górę.

– Za co? – wydawała się prawdziwie zaintrygowana.

– Za wykonywanie jego poleceń... jakiegokolwiek one są. – Berner starał się wstrzymać ogień swego gniewu, aby zachować go do czasu, kiedy będzie mógł go rozniecić w buchający płomień.

– Nie bądź niemądry – powiedziała, zanim dotarli do szczytu pola. – Kto mógłby się oprzeć tak potężnemu monstrum?

Weszła do środka i usadowiła się na plastikowym łóżku, jak gdyby robiła to przedtem tysiące razy. Berner podziwiał jej odwagę, żałował, że nie może czuć się tak nieustraszony, jak zdawała się być ona.

– Teraz – powiedział Cleet do Bernera – pozwól, że pokażę ci moją bibliotekę. – Podeszedł do zamkniętych drzwi, na-

cisnął dłonią płytkę otwierającą. Drzwi z sykiem przesunęły się na bok.

Berner wszedł za Cleetem do małego pomieszczenia. Cleet odwrócił się, omiółł cały pokój gestem ręki. Trzy ściany pokoju wypełniały rzędy małych komór stazyjnych, tysiące małych przegródek oszklonych z przodu.

– Moja kolekcja – oświadczył, a jego maska załśniła radością. – Spójrz tutaj – wskazał dotykając płytki czołowej jednej z komór. Zapaliła się, wyświetlając zielone znaki pisane w kanciastym alfabecie Dilvermoon: SUCCISA PRATENSIS, samiec i samica.

– Nie rozumiesz?

– Nie, obywatelu Cleet – odparł Berner.

Cleet dotknął następnej płytki czołowej, na której wyświetlił się napis: TURSIOPS TRUNCATUS, samiec i samica.

– Psychokłębki, pustelniku! Spuścizna po moim przodku, który także miał niekonwencjonalne gusty. – Cleet przysunął bliżej twarz i Berner poczuł zapach perfumowanego rozkładu, jak gdyby Cleet gnił pod swoją piękną maską. – Krew krąży we mnie wolniej niż w żyłach moich przodków. Trzymam tutaj dusze dziesięciu tysięcy stworzeń. Większość to ziemskie formy życia, choć posiadam też wiele obcych. – Cleet zaśmiał się i popchnął płytkę, która złożyła się do środka. Wyjął dwa psychokłębki leżące w komorze, dwa podłużne twory z metalu i czerwonego plastyku w kształcie skarabeuszy.

Skierował się do wyjścia.

– Nie zamknę drzwi na zamek, ale jeżeli mi przeszkodzisz, przygotuj się na ból. Możesz się przyglądać, jeżeli chciałbyś zrozumieć. – Nieodgadniony wyraz przemknął przez złocistą maskę. Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Berner z początku powstrzymywał chęć spojrzenia

przez iluminator z pancernego szkła. Stał przed ścianą i dotykał płytek czołowych. Odkrył, że za drugim dotknięciem wyświeśla się zaopatrzone w podpis obraz stworzenia, którego psychikę zamknięto w znajdujących się wewnątrz psychokłębkach. Tam tygrysy, ówdzie krokodyle, jeszcze gdzie indziej uzbrojone w kły obce drapieżniki o sześciu długich nogach i wspaniałym upierzeniu.

Za trzecim dotknięciem wyświeślił się przyprawiający o mdłości opis zachowania seksualnego obcego drapieżnika. Berner oglądał tylko przez chwilę, potem zadrżał i odwrócił się. Miał nadzieję, że Cleet nie użyje akurat tego zestawu psychokłębków: kobieta nie przeżyłaby tego doświadczenia.

Wspaniała błękitna jasność przyciągnęła go w stronę iluminatora. Podszedł, chociaż czuł z góry pretensję do Cleeta – i do samego siebie za uleganie tak niezdrowej ciekawości.

Holoprojektory stworzyły podwodny świat. Wysokie zielono-czarne pasma wodorostów chwiały się w rytm leniwych prądów. Małe srebrne rybki migotały wśród długich liści. Błękitne światło padało poprzez las wodorostów nieprzerwanym potokiem promieni, oświetlając parę unoszącą się w wodzie na środku przemienionej kabiny.

Długie ciało Cleeta było mocno umięśnione, jak gdyby spędził dużo czasu w stymulatorze tkanek. Pełne usta kobiety wygięły się w szerokim, nieruchomym uśmiechu. Popłynęła w objęcia Cleeta, wtórując jego pchnięciom szybkimi, wdzięcznymi ruchami. Cleet zadygotał, a z jej śmiejących się ust wyleciał strumień srebrzystych banieczek.

Berner odwrócił się od iluminatora czując pewien niesmak, chociaż nie zobaczył nic złego czy brutalnego. Usiadł w kącie i zastygł w oczekiwaniu.

Kiedy Cleet przyszedł po niego, drzemał w najlepsze.

Cleet szturchnął go butem. Berner potrząsnął głową, skoczył na równe nogi.

– Przepraszam – powiedział.

Na masce Cleeta pojawił się wyraz niezadowolenia, wyglądało jakby Berner czymś go zirytował.

– Znudziło cię moje przedstawienie?

Berner nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nieważne – stwierdził Cleet. Włożył psychokłębki z powrotem do ich komory stazyjnej. – Do roboty.

Zaprowadził Bernera do kabiny, gdzie kobieta leżała nieruchomo na łóżku, patrząc w sufit.

– Wiesz, co robić – powiedział Cleet. – Dziś wieczorem nie będzie potrzebowała medjednostki, oczyść ją tylko. Aha, i tym razem dopilnuj, żeby uczesała włosy. Uperfumuj ją, umaluj jej usta na czerwono. Zabierz ją do jej pokoju w ładowni, znajdziesz tam, co trzeba. Doprowadź ją do porządku. Potem idź do swojej kabiny. Nie chcę, żebyś mi się kręcił pod nogami.

Po odejściu Cleeta Berner odwinął wąż schowany w ścianie.

Kiedy zalała ją woda, kobieta drgnęła i odsunęła się.

– Przestań na chwilę – powiedziała stłumionym głosem.

– Czuję się jak nagrodzony na wystawie wieprz, który właśnie wyszedł z błota. Czy w innym życiu zajmowałeś się myciem wieprzy?

Berner zamknął dopływ wody.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie – powiedział przeproszającym tonem.

Usiadła i przetrzała twarz rękami. Dłonie jej drżały.

– Pozwól mi przynajmniej wstać.

– Oczywiście – powiedział Berner.

Podczas kiedy on trzymał wąż tak, żeby woda delikatnie

splywała, ona szorowała ciało szczotką, aż jej blada skóra poróżowiła.

Obserwował z niechętną satsfakcją jak jej ciało wolno przybiera kolejne wdzięczne pozy, gdy osuszał je ciepłym powietrzem.

– W porządku – stwierdziła w końcu. – Wracajmy.

Jej kabina była zakurzonej pomieszczeniem z zaśmieconą toaletką w kącie, pozbawionym innych mebli prócz łóżka. Łóżko miało płytkie wgłębienie w kształcie kobiecego ciała i przezroczystą osłonę. Usiadła na jego brzegu, pozornie spokojna.

Na toalecie znalazł słoiczek pomady do ust i wysadzany kamieniami grzebień. Niepewnie wyciągnął w jej kierunku rękę z grzebieniem. Potrząsnęła spokojnie głową.

– Byłbyś tak uprzejmy? – odwróciła się, prostując plecy i podnosząc głowę.

Podniósł grzebień i przeciągnął po jej włosach, zęby zatrzymały się na splątanych kosmykach.

– Uważaj – powiedziała. – Czy uwierzysz, że był czas, kiedy mogłam usiąść na swoich włosach? Splatałam je w warokocz gruby jak moje ramię i rozpuszczałam go tylko dla moich kochanków.

Męczył się ze splątanymi włosami, skupiając całą uwagę na tym zadaniu, aby nie zauważyć, że dotyka pięknej, nagiej kobiety.

Stopniowo plątanina poddała się jego wysiłkom i włosy stały się gładkie i lśniące.

Przerwał, czując przemożną chęć, aby robić to dalej. Odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy ze szczerą ciekawością.

– Byłeś delikatny – stwierdziła. – A Cleet powiedział mi,

że jesteś wyznawcą kultu, który nienawidzi kobiet.

– Nie – odparł. – Nie kobiet. Tylko aktu parzenia się z nimi. Kobiety nic nie mogą poradzić na to, czym są. – Czuł dziwną obojętność i jego własna wypowiedź wydała mu się nagle trochę głupawa, trochę naiwna.

Jej wzrok ochłódł.

– Czym są, według ciebie?

– Bramą do życia... lecz także bramą do śmierci. – Jego słowa zdawały się blade i nieprzekonywające.

Nagle uśmiechnęła się dziwnym wykrzywieniem ust, w gorzkim rozbawieniu.

– Cóż, w moim przypadku masz rację przynajmniej w połowie. Weź mnie do łóżka, a Cleet cię zabije.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Po chwili przyniósł pomadę do ust i leżący koło niej mały, ostro zakończony pędzelek. Podał jej obie rzeczy.

– Spróbuj sam – powiedziała i uniosła twarz, zamykając oczy.

Jego palce uspokoiły się, kiedy pędzelek podkreślał spokojną krzywiznę jej ust, i czuł przyływ jakiegoś niemal niemożliwego do zniesienia uczucia. To nie jest żądza, pomyślał. Zapomniałem, jak się ją odczuwa, czyż nie?

– I perfumy, tak powiedział – przypomniała Bernerowi, kiedy skończył. Nieźle mu poszło z jej ustami, lśniły aksamitnym szkarłatem. Osobliwe wspomnienie przemknęło mu przez myśl: przypomniał sobie, że w niektórych światach modne kobiety malowały sobie sutki.

Odwrócił się i przebierał wśród buteleczek perfum, które wypełniały toaletkę, aż znalazł coś, co mu się spodobało, słodki kwiatowy zapach z ziemską nutą. Umoczył palec w perfumach, dotknął pulsującego miejsca u podstawy szyi – a

potem, po chwili, miękkiej, delikatnej skóry pomiędzy pierśmi. Cofnął gwałtownie rękę, jak gdyby mogła go oparzyć.

– Wybacz – powiedział czując, jak twarz mu płonie.

– Jestem raczej przyzwyczajona – powiedziała, śmiejąc się cicho. Dźwięk ten nie miał w sobie ani śladu wesołości. – Musiałbyś pozwolić sobie na dużo więcej – i brutalniej, zanim byś zapracował na moją wrogość.

Nagle zapadła się w sobie, oczy jej wypełniło ogromne zmęczenie.

– No, teraz muszę spać – i pozwolić, żeby łóżko mnie odżywiło – jeśli mam mieć nadzieję na odzyskanie sił. Bardziej boli, kiedy jestem zmęczona.

– Jak możesz myśleć o tym tak trzeźwo? – Berner poczuł silny, szczery żal.

Wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała. W końcu westchnął i wstał.

– Jeśli chodzi o mnie, tak boję się Cleeta, że nie czuję niczego poza tym.

– Cleet wie, jak kontrolować swoją własność, na tym polega jego geniusz. – Położyła się, kładąc nogi we wgłębieniu łóżka.

– Musisz go nienawidzić – powiedział i natychmiast poczuł zmieszanie z powodu tak głupio oczywistej uwagi.

– Nienawidzić? – mruknęła. – Czy go nienawidzę? Nie wiem... To tak jakby nienawidzić tajfun, który zatopił twoją łódź, choroby, która kradnie ci zdrowie. Jakby nienawidzić śmierci lub bólu. Bezsensowne, nie sądzisz? – Zamknęła oczy.

Zaciągnął osłonę łóżka i przyglądał się drucikom wypełzającym z ukrytych wnęk. Grube plastikowe wężyki pełne odżywczego płynu przytwierdziły się do jej przegubów. Przewody nie grubsze niż srebrne nitki zatoneły w tuzinach miejsc



jej ciała. Łóżko pracowało nad utrzymaniem jej napięcia mięśniowego, uprawiając jej ciało w delikatny, falujący ruch. Uśmiechnęła się, jej plecy wygięły się lekko.

Poruszała się jak gdyby w ramionach niewidzialnego kochanka.

Odwrócił się i uciekł.

Cleet uwalniał go z kabiny o różnych porach, pozwalał mu coś zjeść, po czym rozkazywał, aby przyprowadził kobietę.

Coraz częściej Berner ulegał pokusie przyglądania się. Wmawiał sobie, że to holoprojekcja tak go fascynuje, za każdym razem komora stawała się innym światem, wspaniałym, strasliwym lub niezrozumiałym.

Czasami Candy pop zdawała się czerpać przyjemność z tego aktu. Na jej twarzy wstyd walczył z pożądaniem, uśmiech z płaczem. Czasem krzyczała bez przerwy, a jej rysy zastygały w lęku i grozie. Najczęściej z wyrazu jej twarzy nic nie dało się odczytać.

Po wyczerpaniu się psychokłębka często na chwilę traciła przytomność. Najbardziej obce stwory Cleeta uprawiały ją w stan podobny do śpiączki, trwający czasem godzinami.

Niekiedy wychodziła bez obrażeń, ale zazwyczaj Berner musiał zanosić ją do medjednostki, aby wyleczyć stłuczenia, zwichnięcia i pomniejsze złamania.

– Jak możesz to znosić? – zapytał pewnego ranka, pomagając jej zejść z płyty. Wzruszyła ramionami.

– Jakie mam inne wyjście?

– Nie wiem – odparł Berner z ociąganiem. Wydawało się to potwornie niesprawiedliwe. Była tak miłą i niewinną osobą, a cierpiała tak szkaradną niewolę. – Czy nigdy nie bywa lepiej?

– Czy Cleet dał ci już swój wykład na temat cyklicznej natury bogactwa? Nie? Cóż, okrucieństwo także ma swoje cy-

kle. – Posłała mu zmęczony uśmiech. – Czasami ubiera mnie w klejnoty, daje mi podarki i zachowuje się jak uwielbiający mąż.

– Tak jest lepiej, prawda?

– Wcale nie – odpowiedziała.

W miarę jak mijały tygodnie, Cleet stawał się mniej rozmowny, zdawał się znajdować mniejszą przyjemność w szokowaniu lub straszaniu Bernera.

Teraz zdarzało się, że spędzał noc bez kobiety, a w końcu mijały całe dni, kiedy nie zabierał jej forpiku. Za to prześadywał na pokładzie astrogacyjnym, wyraźnie zajęty swoimi myślami.

Cleet nie zamykał już Bernera w kabinie, najwyraźniej upewniwszy się, że jest nieszkodliwy. W każdym razie pole schodowe nie pozwoliłoby mu się dostać do żadnego z chronionych obszarów, tak więc Berner poruszał się tylko po ładowni i górnym pokładzie. Zaczynał się niecierpliwic.

Kiedyś odwiedził kobietę, kiedy spała swoim wymuszonym snem. Wydała mu się nieodparcie piękna, leżąc w łóżku jak klejnot w szkatułce. Wyszedł, zanim się obudziła i nigdy więcej nie naruszał jej prywatności.

Pożądał tej kobiety, w końcu był w stanie przyznać się do tego przed samym sobą. Było mu jej żal, a uczucie to wkrótce przerodziło się w pożądanie. Jednak ostatecznie ani żądza ani litość nie wydawały mu się na miejscu: była, jak i on, tylko jeszcze jednym zwierzęciem schwytanym w pułapkę, zabawką. Pomimo całej swej piękności, pomimo całej swej odwagi.

Jedyną rozrywkę znajdował na górnym pokładzie, wertując bibliotekę dusz Cleeta. Godzina po godzinie oglądał wyświetlane obrazy i czasami wydawało mu się, że wszechświat jest wypełniony wyłącznie kopulującymi zwierzętami, rozpacz-

liwie uchodzącymi przed śmiercią w ten jedyny sposób, jaki był dla nich dostępny.

Cleet czasami pozwalał mu zjeść obiad w mesie statku, przy długim, czarnym, lakierowanym stole. Berner zajmował miejsce na końcu tego stołu.

Zwykle Cleet jadł w czujnym milczeniu, obserwując Bernera z bezosobowym natężeniem. Tego wieczoru jednak był rozmowny.

– A więc, pustelniku, opowiedz mi o swej wierze. Słabi bez końca wymyślają podobne religie, usprawiedliwiając własną słabość. Ale odrzucenie seksu? To wydaje się uniwersalnie nieatrakcyjne. Jak zdobywacie wiernych?

Berner spojrzał nieufnie na Cleeta.

– Mądrość sama przychodzi do wybranych.

– Ach, tak? W takim razie powiedziałałyś, że ja jestem niemądry? Albo niewybrany?

– Nie ośmieliłbym się... – odparł Berner, spoglądając w dół na swój talerz.

– Całkiem słusznie! Ale proszę, wypowiedz się swobodnie. Być może, nawrócisz mnie. Dlaczego musimy powstrzymać się od seksu?

Berner, nieszczęśliwy, wciągnął powietrze.

– Mogę tylko zacytować Bezimiennego: „Pomyśl o amebie. Czy ona umiera? Nie zna przelotnej przyjemności parzenia się ani wiecznego strachu przed grobem”.

– Żadne zwierzę nie boi się śmierci. – Cleet wypowiedział to niemal delikatnym głosem.

– Być może nie, dopóki śmierć nie nadejdzie. Wtedy...

– Ale czy ten Bezimienny nie został zamęczony?

– Tak, na Aragonie, przez tłum rozwścieczonych ładacznic. Nasza wiara nie obiecuje nieśmiertelności w tym ciele,

choć czciele zanotowali znaczne przedłużenie życia. Zdarzają się wypadki, nadal panuje przemoc. Mamy nadzieję zachować życie duszy. Jesteśmy realistami.

Cleet zaśmiał się swoim pięknym, niezdrowym śmiechem.

– Realiści! Powiedz mi, ile masz lat?

Berner przygarbił ramiona.

– Sto siedem standardowych. Ale późno przybyłem do Misterium.

Cleet zaśmiał się znowu.

– Smarkacz. Posiwały smarkacz. Mógłbyś tu przeżyć jeszcze ze sto – i to nie na pewno. Widziałem twoją medjednostkę, bardzo prymitywna, doprawdy bardzo. Ja urodziłem się 863 lata temu na Green. I miałem przynajmniej dziesięć tysięcy kochanek, dzięki temu czuję się jeszcze bardziej młodzińczo. I jak teraz wygląda twój realizm?

Berner nie odpowiedział.

– Wiem, co myślisz – powiedział Cleet. – Myślisz „Bogactwo”. I, oczywiście, masz rację. Bogaci nie muszą umierać, dlaczego więc mielibyśmy się zastanawiać nad stanem naszych dusz? Czy masz odpowiedź?

– Nie – wymamrotał Berner.

– Nie, oczywiście, że nie masz. – Cleet zamyślił się, spokój rozlał się po jego lśniącej masce. – Ale myślisz sobie: „Jeżeli Cleet jest tak bogaty, co robi w tym pustym świecie, z nudnym bigotem jako służącym?” – Ramiona Cleeta drgnęły, zamrugął gwałtownie. – Nie doświadczyłeś osobiście bogactwa, więc wybaczam ci twoją ignorancję. Widzisz, bogactwo ma naturę cykliczną. Prawdziwy bogacz przechodzi przez następujące cykle: gromadzenie, a potem wydawanie. Jakiż użytek z bogactwa, jeśli nie można za nie kupić rozrywek? A im bogatszy

się stajesz, w tym droższych gustujesz rozrywkach.

Bernera przerażał wyraz twarzy Cleeta, zarazem zrozpaczony i gniewny. Wbijał wzrok w resztki jedzenia i miał nadzieję, że Cleet nie zechce złagodzić swego bólu, zadając go jemu.

Cleet był jednak myślami gdzie indziej, zatopiony w jakichś gorzkich wspomnieniach. Mówił dalej z zadumą:

– Tak więc znalazłem się na dole cyklu. Nie posiadam nic oprócz tego przekłętego statku, kawałka ładnego ciała, kilku zabawek – i ciebie, oczywiście. Gdybym mógł, zabrałbym statek do Dilvermoon i sprzedał, ale jest dostrojony do mojej osoby i beze mnie umrze. Poza tym tropią mnie złośliwi wrogowie i akurat teraz w Dilvermoon nie jest bezpiecznie.

To równie dobre miejsce jak każde inne, aby czekać, aż nie poczynię nowych planów. Po co bez celu przemierzać pustkę? – Po chwili uśmiechnął się, jakby jego wspomnienia przybrały przyjemniejszy obrót. – Mój szanowny przodek dał mi ten statek podczas mego Roku Męskości, dawno temu. Bardzo dawno temu. Miesiąc później otrułem go i wzięłem swoje dziedzictwo. Naprawdę stałem się mężczyzną.

Nastała cisza. Po jakimś czasie Cleet podniósł się i poszedł na górę do swego prywatnego apartamentu.

Berner ukrył twarz w dłoniach i trwał tak, póki nie przestał dygotać.

Tego wieczoru Cleet przybrał postać wielkiego węża zamieszkującego świat piasku i cierni. Obszedł się z kobietą wyjątkowo okrutnie, więc kiedy skończył, była zakrwawiona.

Berner ukrył gniew, kiedy Cleet wywołał go z biblioteki.

– Do medjednostki? – zapytał.

– Czemu nie – odpowiedział Cleet z odcieniem znudzenia i odszedł.

– Nie zawsze byłem tchórzem, Candypop – wyszeptał Berner, pomagając jej się umyć.

Podniosła na niego wzrok, uśmiechając się lekko.

– Dlaczego nazywasz się tchórzem? Co mógłbyś działać przeciwko Cleetowi? On już nie jest człowiekiem, stał się zbyt silny, zbyt szybki, zbyt okrutny. Żadna nieprzetworzona istota ludzka nie mogłaby go pokonać.

Kiedy pomagał jej podnieść się na nogi, oparła się o niego i czuł przy swoim boku nacisk jej piersi. Ku swemu zawstydzeniu poczuł ukłucie żądy.

Medjednostka uporała się z nią szybko – najwyraźniej rany były powierzchowne – tak, że kilka minut później Berner mógł odprowadzić ją do kabiny.

Cleet wszedł za nimi poruszając się bezszelestnie i zaskakując Bernera.

– Wiesz, prawda? – powiedział miękkim, rozmarzonym głosem.

Berner zrozumiał, że dzieje się coś ważnego, zachodzi jakaś rytualna wymiana. Wymiana jakiejś strasznej wiadomości między Cleetem a Candypop.

Cleet utkwiał w Bernerze nieruchome spojrzenie.

– Wszystko się zmienia, pustelniku. Zauważyłeś to nawet podczas swego krótkiego życia. Nie zostaniemy tu już długo.

– Co pan ma na myśli? – Berner nie mógł złapać tchu.

– Zbyt długo przebywałem z dala od mojego życia. A poza tym jestem zmęczony moją Candypop. – Cleet potrząsnął głową, wydawało się, jakby dziwnie zmałał. – Stare zabawki... – powiedział tak cicho, że Berner ledwo dosłyszał słowa.

Odszedł cicho, a Berner drżącą ręką podniósł szczotkę do włosów.

Candypop spojrzała na Bernera. Twarz miała zaskakująco spokojną.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Bernerze. On lubi straszyć ludzi, wiesz, to jego hobby. Zanim odleci, wypuści cię stąd i pozwoli ci wrócić do dawnego życia. Nie rób tylko nic, co by go mogło rozgniewać. Nigdy nie postępuj wbrew jego oczekiwaniom, a nic ci się nie stanie. On nie morduje bez powodu. Przeżyjesz, bracie Bernerze.

Chciał jej wierzyć.

– Groził, że przemodeluje mnie w kobietę, jeżeli... –

Wstydział się swego strachu, doprowadzał go do mdłości.

– Jeżeli ja umrę? – potrząsnęła głową. – Nie obawiaj się.

To się nigdy nie stanie, wierz mi. Nie mam zamiaru cię urazić – prawdopodobnie byłaby z ciebie ładna kobieta – ale Cleet ma bardzo... szczególne gusta. Dość osobliwe.

– Ale to brzmiało... to naprawdę brzmiało tak, jakby chciał powiedzieć, że cię zabije.

Pokiwała głową, wciąż nieludzko spokojna.

– Oczywiście, że zamierza mnie zabić. To nie będzie pierwszy raz. Posiada mnie od bardzo dawna. Ale później wsadzi mnie do medjednostki, a ona złoży mnie z powrotem do kupy i będę jak nowa. Mówię ci, on naprawdę nie jest mordercą, to nie jest morderstwo, jeśli nie pozostaje się martwym, czyż nie? Nigdy się mnie nie pozbędzie, jestem idealną kobietą. Dla Cleeta. Ale tobie nic się nie stanie. Uwierz mi.

Berner nagle poczuł pewność, że ona mówi prawdę.

– To dla ciebie okropne – powiedział.

– Nie jest tak źle – powiedziała, wzruszając swymi cudownymi ramionami. – Nigdy nic nie pamiętam z okresu, kiedy jestem martwa.

Lecz po chwili jej opanowanie zachwiało się nieco, a

oczy pociemniały.

– Boli tylko umieranie.

Berner poszedł do łóżka pełen współczującego podziwu. Sen długi czas go omijał, a kiedy w końcu zasnął, dopadł go straszliwy koszmar.

Sen nie przestrzegał logiki, przez scenę jego umysłu przepływały oderwane obrazy. Sam Berner nie brał żadnego udziału we śnie. Był widzem, całkowicie pozbawionym własnej woli.

Z pewnej odległości widniała twarz Candypop. Wbijała w niego wzrok. Dostrzegał ją tylko kątem oka, ale to ona stanowiła centrum snu. Po chwili zauważył, że piękna skóra, która pokrywała jej czaszkę, staje się półprzezroczysta tak, że prześwieca przez nie biała kość. Przez tę przezroczystość przepływały mroczne obrazy – rzeka ukrytych emocji nad bladym kamieniem. We wspaniałych oczach czarne jaskinie. W pełnych ustach długie posępne kły śmierci.

Na pierwszym planie snu Cleet przybierał serię niezgrabnych póz w powolnym rytuale. Jego oczy z początku były puste. Otwarte usta zwisały bezwładnie. Wyglądał, jakby został opanowany przez jakąś wewnętrzną formę życia, jakby w jego ciele zamieszkała inna istota, nieco odmienna od ludzkiej i niepewna, jak ludzkie ciało powinno się poruszać. Teraz Cleet stanął na jednej nodze, drugą podniósł wysoko, kołysząc ramieniem za plecami. Ramię podniosło się, przemieściło i stało się kolcem wysuwającym się z tyłu szyi Cleeta.

Sen migotał, Cleet był teraz trującą rybą, pokrytym brodawkami straszylem o postrzępionych płetwach i oczach martwych jak kamyki. W tym samym czasie był wciąż Cleetem,

Berner rozpoznawał go z mrożącym krew przerażeniem.

Candypop patrzyła spokojnie ze swego oddalenia, jej



czaszka płonęła wewnętrznym ogniem.

Cleet zawirował i stał się znowu człowiekiem. Opadł do przysiadu, rozkraczył nogi i Berner ujrzał pająka. Potem węża. Rekina, hienę, obcą istotę o rogach jak brzytwy, potwora z głębin wywijającego mackami. Za każdą transformacją Berner czuł przyływ przerażenia. Miał ochotę krzyczeć, gardło bolało go, jakby miało zaraz pęknąć.

Jednak nie mógł krzyczeć, nie mógł uciekać, i jego bezradność przyciągnęła uwagę Cleeta. Potwór obserwował teraz Bernera błyszczącymi oczyma. Transformacje nabierały wstrząsającego tempa, kształty zmieniały się szybciej i szybciej. Berner nie mógł już ich rozpoznać, widział jedynie oczy, które zaczęły się zbliżać.

Był pewien, że zaraz umrze. Usiłował przenieść uwagę na Candy pop... i wtedy zobaczył coś, co go ocaliło.

Ponad czaszkę i jej zanikającą otoczkę pięknego ciała podniosła się inna twarz. Młoda kobieta, uśmiechnięta, pełna radości życia. Jej oczy były ciepłe i niewinne. Ufne.

Rozpoznał ją z wysiłkiem. Jakimś cudem ujrzał Candy pop taką, jaka była, zanim posiadał ją Cleet.

Jego przerażenie przygasło, zastąpione bolesnym smutkiem.

Obudził się ze łzami na policzkach i nieodpartą potrzebą ujrzenia jej.

Do czasu kiedy stanął nad jej łóżkiem, łzy zniknęły, ale ból pozostał. Leżała nieruchoma i w sztucznym spokoju narkotycznego uśpienia ujrzał młodą kobietę ze swego snu. Zerknął na czasomierz łóżka. Za kilka sekund rurki i przewody wycofają się z jej ciała.

Łóżko trzasnęło i zabuczało. Oprzyrządowanie odpadło. Powieki kobiety zatrzepotały i Bernerem owładnął niebez-

pieczny impuls. Czuł, że coś popycha go do dokonania jakiegoś aktu czułości, choćby drobnego, więc pochylił się nad łóżkiem i dotknął wargami jej ust... czując niedorzeczną rozkosz, czując przyprawiające o zawrót głowy przerażenie.

Obudziła się, a on pocałował ją, ale jedyną jej reakcją było nieskończenie lekkie potrząśnięcie głową.

Przytaknął, ale pochylił się nad nią znowu, przycisnął policzek do jej policzka i wyszeptał:

– Gdybym mógł cokolwiek zrobić, zrobiłbym to. Zrobiłbym.

– Tak – powiedziała miękko. – Wierzę ci. Tak – podniosła rękę i dotknęła jego twarzy chłodnym, szybkim muśnięciem.

– Tak? – ryknął Cleet, zza pleców Bernera. – Tak? Tak – co?

Berner odskoczył od łóżka, ale Cleet zamachnął się ciężkim ramieniem i jednym uderzeniem rozciągnął go w kącie pokoju.

W rękę Cleeta drżał nerwopał, a Berner szykował się na zejście do piekła.

Głos Cleeta przybrał głuchy ton, jakiego Berner nigdy przedtem nie słyszał.

– Co ci mówiłem, pustelniku? Pamiętasz?

Berner nie był w stanie wydobyć głosu.

– Co mu mówiłeś? – spytała Candypop cichym, rozba-wionym tonem.

Berner zerknął na nią. Siedziała na brzegu łóżka, z ciałem wygiętym w łuk w dziwnie prowokującej pozie. Jej twarz promieniała szelmowskim triumfem. Cleet odwrócił się do niej.

– Mogłoby mi przyjść do głowy coś niemiłego. Mógłbym

pomyśleć, że ze mnie szydzisz. Mógłbym uwierzyć, że uwodzisz tego prostaka tylko po to, aby mnie rozdrażnić.

– Doprawdy? – zaśmiała się, był to brzydki, drwiący dźwięk. – Chyba nie myślałeś naprawdę, że ten mały tchórz mógłby ci się kiedykolwiek sprzeciwić. Bez wydatnej... pomocy. Chyba tak nie myślałeś?

Cleet wystrzelił z nerwopału.

Berner patrzył, jak dziewczyna upada z łomotem, z twarzą wykrzywioną nieludzkim krzykiem. Całe jej piękno zniknęło.

Chciał się odwrócić, lecz nie był w stanie.

Kiedy wreszcie było po wszystkim, Cleet wyszedł bez słowa.

Berner pomógł jej przejść do medjednostki i podsadził ją na płytę. Zanim wsunął ją do środka, wziął ją za rękę.

– Dlaczego? Dlaczego wzięłaś winę na siebie?

Wykonała gest przypominający wzruszenie ramion. Jej głos zmienił się w ochryply szept.

– Mógł cię zabić, a cóż by to była za głupia strata – jest niemal zdecydowany puścić cię wolno. Poza tym przywykłam do tego.

– Dziękuję ci – powiedział niepewnie.

Znowu leciutkie wzruszenie ramion.

– Wobec tysiąca lat, jakie to ma znaczenie?

W bibliotece Cleet ociągał się z decyzją.

– Które powinienem wybrać, pustelniku? – otworzył przegródkę oznaczoną napisem HYAENA EXTRO-BRUNNEA, wyjął kłębki, ważył je w dłoni obserwując Bernera nieprzeniknionymi oczyma.

– Mam użyć tych?

Cisza przedłużała się i Berner czuł nacisk woli Cleeta

zmuszający go do odpowiedzi.

– Byłoby zarozumiałością z mojej strony ferować opinię – powiedział w końcu. Cleet uśmiechnął się.

– W porządku. Dobrze powiedziane, wiedziałem, że można cię czegoś nauczyć. Myślę, że poczekamy na nie jeszcze jedną noc. – Odłożył kłębki na miejsce, wziął następną parę. – Dziś wieczór weźmiemy coś słodkiego, jak sądzę. Coś subtelnego. Dla odmiany.

Kiedy Cleet poszedł do niej, Berner stuknął w płytkę, za którą odłożył kłębki hyaeny. Patrzył na wyświetlacz, czując falę mdłości.

Przez pokrytą zaroślami równinę sunęła na sześciu pniakowatych nogach barczysta bestia, pokryta pancerzem z włóknistych płytek w kolorze błotnistobrazowym. Porastały ją z rzadka rozrzucone kępki włosów. Głowa była nieowłosiona, po obu stronach świńskiego ryja sterczały zakrzywione do góry kły, oczy błyszczały silnym podnieceniem.

Potwór zatrzymał się, podrzucił głowę, rozdymając szeroko nozdrza. Chwilę później ruszył kołyszącym truchtem, a jego pysk pokrył się pianą.

Dopadł samicę na podmokłej łące. Samica, z brzuchem zwisającym ciężko, była drobniejsza i mniej zwinna. Kręciła się w kółko, aby stanąć twarzą do samca. On jednak runął na nią, rozciągając ją na ziemi i odstawiając jej brzuch. Ciął kłami i w chwilę później zielonkawa masa wypełniająca wewnątrz poruszyła się i zaczęła wylewać. Samiec stanął nad ciałem, rozstawił nogi i z jego piersi wysunęło się tuzin cienkich organów. Strumienie żółtego płynu bryzgnęły w dół, na masę.

Kiedy samica była już martwa, masa rozdzieliła się na rój małych larwopodobnych stworzeń, które zaczęły się żywić ciałem swojej matki.

Berner odwrócił się od wyświetlacza. Proces wydawał się odrażający, choć bez wątplenia bestie patrzyły na to inaczej. Pomyślał o Candypop, leżącej pod Cleetem, pustej i martwej. Jak Cleet mógł zrobić coś takiego?

Cleet wziął kłębki z przegródki oznaczonej HYAENA EXTRO-BRUNNEA. Spojrzał na Bernera, jego maska była nieprzenikniona. Zamknął na chwilę oczy, potem je otworzył, pod błyskiem oczekiwania kryła się w nich niepewność – lub przynajmniej tak wydawało się Bernerowi.

– Nieważne. Nieważne – powiedział Cleet, gwałtownie potrząsając głową. – Jak tylko skończymy, pozwolę ci odejść. Z powrotem do twojej jaskini, twojej kobiety z brązu i twoich zabobonów. Jakkolwiek było, starałeś się, jak mogłeś.

Nagle Berner zrozumiał, że Cleet mówi prawdę. Serce zabiło mu w piersi mocnym, urywanym rytmem, ale nie odezwał się.

– Kiedy odleczę... pamiętaj o mnie, pustelniku. – Cleet uśmiechnął się niemal serdecznie i pozwolił, by drzwi same się zamknęły. Berner powiedział do drzwi:

– Tak, będę pamiętał.

Obserwował od początku, zniewolony, z bijącym sercem.

Cleet podszedł do niej. Rozdzielił włosy na karku, umocował psychokłębek do jej łącznika. Nagle podniosła się na czworaki, poruszając się z obcą sobie prędkością. Cleet wcisnął swój własny kłębek i opadł do tej samej pozycji w niezdnym przykucnięciu.

Holoprojektory wybrały strumień danych z aktualnie działających kłębków i pokład przemienił się w wąską, mroczną jaskinię. Kawałki gnijącego drewna i kruszącego się gipsu sięgały aż po zalegające wysoko w górze ciemności, a w

powietrzu czuć było niemal namacalną wilgoć. Perspektywa Bernera zmieniła się lekko i zdawało mu się, że spogląda w słabo oświetloną przestrzeń pomiędzy ścianami zbudowanymi przez gigantów.

Candypop okrążała teraz Cleeta, a on kołysał się rytmicznie, czekając na nią. Złota maska wyrażała gotowość, czystą i nieskomplikowaną.

Dopiero, kiedy skoczyła na niego i wepchnęła swoje ciało pod jego, Cleet zaczął wydawać się stropiony. Rzucił oczami na boki, maska zamigotała łagodnym zdziwieniem. Lecz psychokłębek działał na niego równie mocno jak na nią więc wbił się w nią, prężąc ciało. Drżał, przywarł do niej, trzymając kurczowo i pompując.

Cleet zdawał się jakby kurczyć, jak gdyby przelewał w nią jakąś istotną część samego siebie, a ona z kolei wydawała się większa, stając się, mimo iż wiała się pod nim, dominującą postacią.

Ześlizgnął się z niej i leżał dysząc, jego zmieszanie rosło, zachmurzając złocistą maskę. Wyraźnie zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Candypop odwróciła się i spojrzała na Cleeta, jej oczy ożywiały nowy głód.

Cleet zaczął się podnosić, sięgając do kłębka z tyłu szyi.

Skoczyła, zatopiła swoje mocne zęby w jego gardle. Trysnęła krew, upadł na plecy. Młócił w nią bezskutecznie pięściami, oczy rozszerzyły mu się nieprawdopodobnie, maską wstrząsały konwulsje. Krew pokryła obydwie ciała.

Cleet zebrał resztki sił, zrzucił ją z siebie i wyciągnął z szyi psychokłębek. Poczołgał się w stronę okienka, wpatrując się w Bernera płonącymi oczami, gniew wykrzywiał jego maskę w przerażający kształt.

Berner znieruchomiał, z rękami przyciśniętymi do szkła. Teraz Cleet zabije go w jakiś straszliwy sposób, a kobieta nadal będzie cierpiała. Jaki był głupi myśląc, że może oszukać tak potężną i żywiołową istotę jak Cleet.

Ale kiedy Cleet dotarł do drzwi i spróbował wstać, jego żywotność zawiodła go. Straszliwe oczy zaszyły mgłą i w jednej chwili zniknęło z nich wszystko prócz niejasnego zdumienia. Osunął się na podłogę, a Candypop skoczyła na jego ciało.

Berner odwrócił się, kiedy zaczęła się posilać. Stuknął palcem w płytkę czołową komory, do której przełożył kłębki Hyaena Extro-Brunnea. Płytkę zapłonęła, wyświetlając nazwę gatunku, jaki kobieta tak gorliwie teraz reprezentowała:

LATRODECTUS MACTANS. Stuknął jeszcze raz i patrzył na kopulujące pająki, na niepozornego samca ujeżdżającego wielki, czarny odwłok samicy. Patrzył, jak samica zabija i pożera samca.

Pomyślał z wdzięcznością o dźwiękoszczelnych drzwiach.

Kilka minut później jej psychokłębek wyczerpał się i opadła na poszarpane ciało Cleeta. Berner wszedł, usunął jej kłębek i zmiażdżył go obcasem, rozgniatając na małe kawałki plastyku i metalu.

Kiedy wynosił ją na zewnątrz, statek umierał. Pole schodowe mrugało i jęczało, stanowiąc wyraźne niebezpieczeństwo. Użył zamiast niego zapasowej drabiny, poruszając się wolno i ostrożnie, z dziewczyną ciężącą mu na ramionach. Na każdym poziomie, jaki mijał, ekrany gubiły dane i czerniały, słyszał grzechot solenoidów towarzyszący wyłączaniu się systemów. Kiedy dotarł do luku, który otworzył się automatycznie jak usta w omdlałym ciele, statek był martwy i cichy.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zapadał zmierzch,

ale Bernera zaskoczyło ciepło wciąż zatrzymywane przez ziemię. Pot spływał z niego i mieszał się z krwią pokrywającą Candypop. Zanim dotarł do jaskini, zadyszał się, a jej ciało omal nie ześlizgnęło mu się z ramion, które chwycił kurcz.

Wniósł ją jednak do jaskini i położył na matach, które podczas jego nieobecności okrył kurcz.

Przyniósł miednicę z wodą ze źródła na końcu jaskini i zanim się obudziła, zmył większą część krwi.

Z trudem dźwignęła się na nogi, patrząc na niego dzikimi, szeroko otwartymi oczami. Następnie zwymiotowała swój ostatni posiłek.

Otarł jej twarz i pomógł przejść na hamak, potem posprzątał wszystko. Nie powiedziała ani słowa, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś się odezwie. Wyniósł na zewnątrz zakrwawioną matę.

Kiedy wrócił, siedziała w hamaku, jej długie nogi dynęły w powietrzu. Oczy jej pojaśniały, posłała mu lekki, przestraszony uśmiech.

– On nie żyje? – spytała, jakby nie pamiętając tego.

– Ostatecznie – odpowiedział. Ułożył stos zapasowych mat w kącie obok strumienia i położył się, zdjawszy sandały.

Po chwili leżała już na hamaku. Usnęła na długo przed Bernerem.

Z przyjemnością powrócił do swych zwykłych zajęć, chociaż nie odprawiał już więcej codziennych modłów, dawna wiara teraz wydawała mu się dziecinna. Candypop przez pierwszych kilka dni pozostawała w jaskini, milcząca i nieruchoma.

Pewnego ranka przysłała do niego na pole, ubrana w bluzę, którą jej podarował. Wyglądała jednocześnie jakby poważniej i młodziej. Stała i obserwowała, jak spulchnia glebę w



rozsadniku sadzonek posoli.

– Nie mam na imię Candypop – powiedziała w końcu.

– Oo?

– Jestem Kariel – powiedziała. – Kariel Antrine. Prawie zapomniałam.

– Ładne imię – stwierdził, skupiając uwagę na swojej pracy. Znowu zapadła cisza. Wschodziło słońce i Berner pocił się nad sadzonkami.

– Jestem ci wdzięczna – powiedziała dziwnie urażonym tonem.

– Nie ma za co – odparł. – Ratowałem też samego siebie.

– On by cię nie zabił.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Berner.

– Och – jednak w jej głosie wciąż słychać było urazę, i to zaskoczyło Bernera. Zdawała się szukać właściwych słów.

– Słuchaj – powiedziała. – Cleet powiedział mi... że od trzydziestu lat żyjesz w celibacie.

– Prawda.

– Obawiam się, że będziesz musiał czekać kolejne trzydzieści lat – powiedziała, czerwieniąc się cała. – Co najmniej – wydawała się jednocześnie zła i zmieszana.

Uśmiechnął się do niej i pochylił nad motyką.

– Rozumiem. Ale nie sądzę, aby to trwało aż tak długo. Statek wahadłowy ma przybyć według rozkładu mniej więcej za cztery lata, a wtedy oboje możemy się stąd wydostać.

Kariel najwyraźniej do tej pory wstrzymywała oddech, wypuściła go i ofiarowała mu swój pierwszy prawdziwy uśmiech.

Przez długą chwilę pławił się w jego blasku, po czym powrócił do swojej motyki.

---

waldi0055

## Stalowe psy

Stłoczony wraz z koniem i psami Aandred czekał w służbie wyjściowej. Wypełniająca ciasną przestrzeń powietrze było gęste od zapachu smarów, ozonu i cieczy hydraulicznej. Psy skakały z podnieceniem a ich zderzające się, metalowe ciała wydawały ogłuszający, dźwięczny odgłos.

– Spokojnie, szczeniaczki – powiedział Aandred, nadając swemu szorstkiemu głosowi łagodne brzmienie. Wiem, wiem... Droam jest dzisiaj trochę bardziej powolna, niż zazwyczaj, ale już zaraz, za chwilę...

Psy uspokoiły się, sygnalizując swoje zniecierpliwienie jedynie nerwowymi poruszeniami i stłumionym skomleniem.

Aandred otworzył pokrywę zainstalowanej w jego przedramieniu tablicy kontrolnej i przyjrzał się wskaźnikom, wszystkie jarzyły się spokojną zielenią, z wyjątkiem jednego, migoczącego od czasu do czasu pomarańczowym blaskiem, który sygnalizował uszkodzenie przetwornika węchowego Umber. Nic tak poważnego, żeby ją zostawić, pomyślał. Umber była słodkim i ani odrobinę nie zawistnym szczeniakiem, nie opuściłaby stada nawet wtedy, gdyby nos zupełnie ją zawiódł.

– Jesteś gotów, Myśliwczę? – zapytała Droam korzystając z bezpośredniego połączenia.

Aandred nienawidził rozlegającego się w jego głowie głosu, był to nieproszony intruz, przypominający mu o tym, że on, Aandred, stanowi własność zamku. Dzisiaj głos był jakby odrobinę mniej obłudny, niż zazwyczaj i Aandred odniósł wrażenie, że słyszy w nim nutę obawy. To dobrze, pomyślał. Cierp, potworze. Ale na głos powiedział tylko jedno słowo:

– Tak.

Wspiął się na grzbiet konia, pięknie uformowany z

czarnej stali i usadowił w siodle, podłączając kable i zapinając zatrzaski. Psy szarpnęły się niecierpliwie, a rumak przeraźliwie zarżał. Aandred nachylił się do przodu i uderzył go pięścią w głowę, posypały się iskry, lecz koń umilkł.

– Dureń! – mruknął Aandred. Wierzchowiec bez wątpienia stanowił Przywołanie bardzo szlachetnego zwierzęcia, ale nawet gdyby miał go dosiadać każdej nocy przez następnych siedemset lat, nie zdołałby go polubić. I nawzajem zresztą, w porównaniu z psami koń był zbyt głupi albo zbyt zarozumiały, żeby ukształtował się między nimi taki związek.

Płonące nad zwieńczeniem bramy światło zmieniło swą barwę na pomarańczową, a następnie na zieloną. Wrota otworzyły się z hukiem i ujadające donośnie psy wysypały się w wygwieżdżoną ciemność, uderzając o siebie z trzaskiem metalowymi bokami. Rozpoczęło się Polowanie. Przez kilka pierwszych chwil hałas był wręcz ogłuszający, ale niemal natychmiast stado wypadło na porośnięty trawą trakt prowadzący w dół, do Zielonych Równin. Aandred zerknął za siebie, na Droam, sylwetka ogromnego zamku odcinała się nieprzeniknioną czernią od wysypanego gwiazdami nieba, a tysiące wież i wieżyczek przypominały kolce na grzbiecie rozwścieczonego jeżozwierza. Nienawiść, jaką odczuwał Aandred była tak wielka, że przez moment czerwona mgła zmąciła ostrość jego widzenia, ale natychmiast otrząsnął się, wyprostował w siodle i skoncentrował całą uwagę na Polowaniu.

Nie lubił swego konia, ale za to wprost uwielbiał na nim jeździć. Śmierć i Przywołanie, które nastąpiły przed siedmiuset laty, znacznie ograniczyły repertuar dostępnych dla niego rozrywek, zaś czas zmniejszył atrakcyjność większości spośród tych, które pozostały, ale ta jedna nic nie straciła ze swojego uroku. Szalony galop pod czarnym niebem w towarzy-

stwie stada ujadających psów, chłodny wiatr rozwiewający metalowe pasemka jego włosów i wydymający obszerny płaszcz, umykająca spod kopyt ziemia... Tak, to nadal było dobre. Roześmiałyby się na głos, gdyby nie to, że jego śmiech przypominał szalony ryk, jakiego należało oczekiwać od Mistrza Polowania. Nie sprawiał mu już przyjemności.

W jego głowie ponownie rozległ się głos Droam:

– Jedź na nawietrzną plażę, Aandred. Troll mówił, że właśnie tam wylądowali.

Aandred dotknął lekko łeku siodła i Crimson, przewodnik stada, skręcił na ścieżkę prowadzącą nad brzeg morza. Ścieżka wiodła w poprzek stromego urwiska, niknąc często w zdradliwych rozpadlinach, ale stado nic sobie z nich nie robiło, przeskakując je, mogłoby się wydawać, niemal od niechcienia. Aandred rozkoszował się niebezpieczeństwem, gdyby koń popełnił chociaż jeden błąd, runęliby w dół, na sterczące zwody, ostre skały. Wysokość była wystarczająca, by upadku nie wytrzymało nawet jego zbudowane ze stali ciało. Krzyknął z dziką radością, lecz natychmiast pomyślał o psach i radość zniknęła, ustępując miejsca obawie. Dotknął ponownie łeku i Crimson zwolnił, biegnąc znacznie ostrożniej.

– Dobry piesek – szepnął Aandred.

Kiedy dotarli do twardego piasku u podnóża zbocza, ponownie pozwolił psom rozwinąć większą prędkość, a one zareagowały pełnym zapałem ujadaniem. Polowanie pognało wąską plażą na północ, nad Morzem Wyspowym pojawiła się czerwona tarcza księżyca.

Droam odezwała się znowu w chwili, gdy udało mu się niemal zapomnieć o celu wyprawy.

– Oto, co masz zrobić, Aandred – powiedział zamek. – Zabijesz wszystkich z wyjątkiem jednego, którego przywie-

ziesz, żebym mogła go przesłuchać.

Zmarszczył brwi.

– Jaką mają broń? – zapytał, myśląc przede wszystkim o psach, zastanowiło go, dlaczego nie spytał o to wcześniej. Zbyt długo jestem martwy, przemknęło mu przez myśl.

– Nic, czego mógłbyś się obawiać. Ani miotaczy energii, ani materiałów wybuchowych. Nie mieli nawet czasu, żeby wykopać doły i zastawić pułapki. To prosta sprawa, ale byłoby dobrze, gdybyś nie popełnił żadnego błędu

Aandred zacisnął chromowane zęby. Nawet po tylu latach arogancja Droam wciąż jeszcze wprawiała go we wściekłość. Było to godne uwagi zjawisko, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo osłabły w nim wszelkie inne uczucia. Mimo to postąpił zgodnie z jej sugestią, wyciszając szczekanie stada i ustawiając urządzenia sterujące koniem tak, żeby biegł na tłumiących wszelkie odgłosy, powietrznych poduszkach. Po chwili już nic nie zakłócało nocnej ciszy.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym zwierzyna wyszła z morza na ląd, psy otoczyły podstawy urwiska niczym spieniona, stalowa fala. Wkrótce odnalazły grotę, w której była ukryta łódź i wyciągnęły ją na zewnątrz, wściekle gryząc i szarpiąc, po chwili z łódki pozostała jedynie sterta drzazg. Aandred poczuł coś w rodzaju żalu. W czasach, kiedy jeszcze był człowiekiem, bardzo lubił wszelkie łódki, a ta wydawała się bardzo zwinna i starannie wykonana.

Psy chwyciły trop i popędziły plażą aż do miejsca, w którym niewielki wodospad rozbryzgiwał się w gałęziach martwego jałowca. Tutaj w urwisko wrzyną się wąska, sięgająca w głąb lądu zatoka. Psy wskoczyły do wody i popłynęły w tamtym kierunku, a w ich ślady, odbiwszy się z całej siły od brzegu zadnimi nogami, poszedł także niosący na swym

grzbiecie Aandreda wierzchowiec.

W skrytej między stromymi ścianami zatoce panowała niemal zupełna ciemność, więc Aandred przełączył swoje oczy na podczerwień. Psy zamieniły się w soczyście czerwone, unoszące się w czerni plamy, za którymi ciągnęły się rozmazane, jaskrawe plamy odrzutu. Jeszcze raz zastanowił się nad otrzymanymi rozkazami, kiedy dopadną zdobyczy musi działać bardzo szybko, bo inaczej Droam nie otrzyma swojego więźnia. Psy były aż nazbyt gorliwe – często łamały zęby na stalowych bokach Przywołanych jeleni, stanowiących ich tradycyjną zdobycz. W porównaniu z tym i kości, i ciało były bardzo, ale to bardzo miękkie.

Dotarli do końca zatoki i wypadli na rozległe wrzosowisko. Przed nimi, w odległości jakiejś ćwierć mili, majaczył skraj Lasu Dimlorn.

Aandred ponownie nieco zmniejszył szybkość psów, jednocześnie zwiększając prędkość konia. Kiedy zrównał się z Crimsonem, zerknął w bok na przodownika stada. Crimson odpowiedział mu spojrzeniem wybałuszonych, zdziwionych ślepi.

– Przepraszam, piesku – wyszeptał Aandred. – Tylko ten jeden raz.

Kiedy dopadł skraju lasu, miał nad psami około pięćdziesięciu metrów przewagi. Popędził przed siebie majaczącą w mroku ścieżką i po kilku sekundach dotarł do polany, na której rozłożyła się obozem zdobycz. Gdy przedzierał się z impetem przez porastające skraj polany krzewy dzikiej róży, około pół tuzina Zbieraczy zerwało się na nogi, wpatrując się w miejsce, z którego dochodził hałas. Wszyscy z wyjątkiem jednego, który stał na straży na środku polany, skryli się pod zwieszającymi się nisko gałęziami wierzby. Strażnik – wysoki,

szczupły mężczyzna – wymierzył w Aandreda kuszę i strzelił.

Pocisk zrykoszetował od jego policzka i zniknął w zaroślach. Aandred ryknął z bólu, strzała pozostawiła w metalu ledwie dostrzegalną ryś, ale akurat to miejsce było gęsto usiane końcówkami pseudonerwów. Wrażenie było takie, jakby ktoś oddarł mu cały policzek. Ścisnął lekko cugle i skierował konia prosto na strzelca.

Kiedy przejechał, ze strażnika pozostały jedynie krwawe, rozwleczone strzepy.

Pozostali reagowali zdumiewająco wolno: trzech usiłowało odpełznąć między drzewa, dwóch stało bez ruchu z ogłupiałymi minami i tylko jeden, kobieta ubrana w postrzępione łachmany, ruszyła naprzód, wymachując w kierunku Aandreda czymś w rodzaju krótkiej pałki. Ponieważ znajdowała się w najdogodniejszym miejscu, skręcił w jej stronę. Pałka ześlizgnęła się nieszkodliwie po grzbiecie konia a w następnej chwili Aandred zgarnął ją ramieniem, zaś koń z potwornym trzaskiem uderzył w pień wierzby. Zaczął natychmiast wierzgać i stawać dęba, by uwolnić się spomiędzy gałęzi, miażdżąc przy okazji pod kopytami dwóch kolejnych Zbieraczy.

Na polanie, wciąż nie wydając żadnego odgłosu, pojawiły się psy. Koń ponownie wierzgnął, zaskoczony ich widokiem i Aandred o mało nie upuścił kobiety na ziemię, między wyszczerzone paszcze. Wiła się rozpaczliwie i kopała, ale gdy jego metalowe dłonie zacisnęły się nieco mocniej, wydała zduszony okrzyk i zwiśla bezwładnie.

– Dobrze – szepnął, wycofując wierzchowca spomiędzy resztek drzewa. – Droam nie mówiła, że masz być zdrowa, tylko żywa.

Psy wkrótce odnalazły pozostałych Zbieraczy i w ciem-



ności rozległy się krótkotrwałe, przeraźliwe krzyki. Zwierzęta niebawem wróciły na polanę, unosząc ku gwiazdom zbroczone czarną krwią pyski.

Koń nadal tańczył niespokojnie, wdeptując w ziemię rozbryźnięte resztki wartownika, a z piersi kobiety wyrwał się niespodziewanie pojedynczy, urwany w połowie szloch. Aandred po raz drugi zdzielił rumaka w głowę.

– Przekłęte bydle – mruknął, po czym skierował wierzchowca z powrotem między drzewa Lasu Dimlorn, pozostawiając krwawe pobojuwisko do sprzątnięcia trollom, minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni miały okazje urządzić ucztę z ludzkiego mięsa. Co prawda teraz nie było gości, którzy mogliby przybyć na poczęstunek, ale trolle z pewnością będą zadowolone, a może nawet wdzięczne.

Nie zależało mu na ich wdzięczności. Spośród wszystkich Przywołanych, którzy stanowili załogę Zamku Droam, właśnie trolle poddały się do końca władzy.

Dotarłszy do wrzosowiska skręcił na ścieżkę prowadzącą grzbietem urwiska. Psy, teraz już całkowicie odprężone, poszczekiwały na siebie i próbowały się bawić. Ich radość sprawiała mu duże zadowolenie. Na chwile ściągnął cugle, by spojrzeć na bajkowy pawilon, wzniesiony na usytuowanej w odległości stu metrów od brzegu platformie, którą łączył z lądem ażurowy, delikatny most. Wzdłuż całej jego długości płonęły różnokolorowe światełka, tworząc bardzo ładny efekt. Gdzieś w głębi czarnej, falującej wody krył się morski troll, który spostrzegł przybijających w swojej łodzi Zbieraczy.

Przewieszona przez siodło kobieta poruszyła się. Aandred zauważył, że pod jej łachmanami kryje się szczupła, sprężysta kibić. Wciąż jeszcze nie odezwała się ani słowem. Zastanawiał się, czy w ogóle potrafi mówić, nawet jeżeli tak, to

z pewnością przede wszystkim zaczęłaby go wyzywać. Wzruszył ramionami i popuścił cugli.

Kiedy Polowanie dotarło do podnóża wysokiego, porośniętego trawą wzgórza, na którym wznosił się Zamek Droam, kobieta nadal milczała. Brama otworzyła się, zanim przed nią stanęli i psy popędziły na wyścigi do środka, a za nimi, znacznie bardziej dostojnie, potruczał obciążony większym niż zwykle ciężarem koń. Kobieta wybrała akurat ten moment, żeby wznowić swoją rozpaczliwą szarpaninę, ale Aandred potrząsnął nią i znowu straciła przytomność. Poczł lekki niepokój, Droam nie omieszka go surowo ukarać, jeśli więzień umrze, zanim zostanie poddany przesłuchaniu.

A potem przez chwile wydawało mu się, że widzi to, co widziała ta kobieta, gdy zbliżali się do mrocznej, zębatej paszczy Droam, otwartej tylko po to, by się zaraz za nimi zamknąć. Potrząsnął głową. Co za głupoty, pomyślał. Chyba pomału ramoleje. Możliwe, że pewnego dnia jednak wreszcie się zużyje.

Psy szły za nim, kiedy niósł ją do sali audiencyjnej. Droam z pewnością wolałaby, żeby zostały w swoich zagrodach, zabrał je częściowo po to, żeby jej dokuczyć, ale przede wszystkim dlatego, że i tak spędzały zbyt duży czas w zamknięciu. Bardzo lubiły mu wszędzie towarzyszyć, a poza tym były bardzo dobrze wychowane – nie istniała najmniejsza obawa, że zabrudzą lśniące korytarze albo że przestraszą kogoś z gości. Ostatni goście wyjechali z Droam ponad czterysta lat temu.

Natomiast z pewnością mogli przestraszyć zamieszkujących zamek Przywołanych, lecz tym Aandred zupełnie się nie przejmował.

Mięśnie kobiety były napięte, ale mimo to w dalszym ciągu nie otwierała oczu.

– Dlaczego nie chcesz patrzeć? – zapytał ją. – To chyba lepiej, niż umierać w ciemności?

Otworzyła oczy, duże, zielone, płonące gniewem i rozpaczą, i Aandred pożałował, że w ogóle się odezwał. Ogarnęło go dziwne, nieprzyjemne uczucie. Zatrzymał się raptownie. Co to mogło być? Nie doświadczał go tak długo, że teraz nie potrafił go nawet rozpoznać. Poczucie winy? Współczucie? Brednie, pomyślał i ruszył dalej.

Na drugim podejście szerokich schodów prowadzących ze Srebrnej Sali Balowej do komnaty audiencyjnej spotkał Merma, Króla Trolli.

Merm przywarł plecami do wykonanej z rubinowego szkła ściany i spoglądał z niepokojem na psy. Miał on szczególnie szkaradne ciało – niskie, kwadratowe, o skórze z pokrytego naroślami, szarozielonego plastiku, spiczastej głowie i ziemistej twarzy. Usta były duże, obwisłe i krwistoczerwone, a oczy, których spojrzenie utkwiło w niesionym przez Aandreda ciężarze, szkliste i zażawione.

– Gotowa na stosik, co? – zagadnął.

Aandred poczuł do niego jeszcze większe niż zwykle obrzydzenie, ale zdusił w sobie odpowiedź. To nie miało sensu, Merm był taki, jaki był.

Troll wykonał taki ruch, jakby chciał podążyć za nim, lecz psy, wyczuwając nieprzyjazne nastawienie swego pana wyszczerzyły na niego kły. Merm odwrócił się, ale dopiero wtedy, gdy Aandred zobaczył malującą się na jego twarzy nienawiść.

Wszyscy nienawidzimy się nawzajem, pomyślał. Właściwie, co w tym dziwnego? Każdy z nas w zupełności na to zasługuje.

U szczytu schodów zastąpiły mu drogę trzy elfy. Ich ciała

wydawały się być wyciosane ze szlachetnych kamieni, były przezroczyście, ale dzikie jakimś zmyślnym sztuczkom skrywały znajdujące się w środku mechanizmy, jarząc się padającym na nie z żyrandoli światłem. Błyszczały jak zimne, ekstrawaganckie klejnoty i właśnie za takie się uważały. Mimo takiego, a nie innego wyglądu ich skóra była miękka i ciepła w dotyku. Aandred wiedział o tym, ponieważ dotykał ich więcej razy, niż potrafił spamiętać. W nagrodę za sprawne działanie Droam pozwalała swym narzędziom na pewne przyjemności.

– Spójrzcie! – zawołała Ametyst, wyciągając smukły, elegancki palec. – Prawdziwa kobieta? Gdzie ją znalazłeś? Co z nią zrobisz? Czy Droam wie o tym? Och, ty obrzydliwcze!

– Tylko bądź ostrożny, Aandred! – zawtórowała jej Cytrynina. – Twój przyrząd może zardzewieć, jeśli nie będziesz uważał, gdzie go wsadzasz! A potem nie zapomnij przyjść do mnie. Mam dla ciebie śliczną oliwiareczkę, wiesz, gdzie.

Granat była najmniej frywolna ze wszystkich trzech.

– Odrażające – powiedziała, po czym zbliżyła się, odgarnęła na bok długie, czarne włosy Zbieraczki i przyjrzała się pobladłej twarzy. – Chociaż, nawet wcale nie jest brzydka. Kiedy Droam już z nią skończy, daj ją nam na jakiś czas, zanim oddasz ją trollom. Ubierzemy ją jak gościa i obsłużymy najlepiej, jak potrafimy. To będzie zabawne, przypomnieć sobie dawne czasy, kiedy jeszcze Droam była w modzie. – Jej ciemna, piękna twarz płonęła pożądaniem zbyt starym, by kiedykolwiek mogło zostać zaspokojone.

Aandred minął je nie odzywając się ani słowem, choć psy nie omieszkały posłać im kilku warknięć. Wchodząc przez wielkie, ciężkie drzwi z wypolerowanego metalu do sali audiencyjnej usłyszał jeszcze za sobą śmiech elfów, przypominający mrozący krew w żyłach dźwięk srebrnych dzwonków.

Na środku wysokiej, wąskiej komnaty jarzył się w podłodze okrągły otwór – główny splot logiczny Droam. Po drugiej stronie sali, między dwoma bajecznie kolorowymi oknami, stał na podwyższeniu pokryty grubą warstwą kurzu i pajęczyn tron, zajmowany przez Króla Podziemi. Spośród wszystkich znajdujących się w zamku ciał tylko to jedno nie było zamieszkałe przez żadnego Przywołanego, stanowiąc zewnętrzną powłokę dla samej Droam. W dawnych czasach zajmowała je każdego wieczoru i schodziła do sali bankietowej, gdzie biesiadowała ze swymi najważniejszymi gośćmi, troszcząc się o to, żeby każdy z nich był w pełni zadowolony i tym samym przyczyniając się do ugruntowania znakomitej reputacji zamku. Teraz jednak nie miała już żadnego powodu, żeby używać ciała, więc Aandred zdziwił się widząc, że mimo to wstaje ono z miejsca i schodzi z podwyższenia. Uaktywnione mikropola błyskawicznie oczyściły je z patyny czasu.

Ciału nadano kształt boga elfów i stanowiło ono najpiękniejszy przedmiot w całym zamku. Miało srebrną, olśniewającą skórę o lekko złotym połysku i wspaniały strój, wykonany z szarego jedwabiu i białego płótna, obrębiony przepyszny, szkarłatny futer wydry morskiej. Jego oczy były z karmazynowych kamieni, a rysy doskonałej twarzy wykrzywione w grymasie lekkiego zniecierpliwienia:

- Czy musisz wszędzie wlec ze sobą te swoje zwierzaki?
- Głos był słodki i delikatny.
- Nie robią nic złego.

Defensywny ton, jakim to powiedział, budził w nim obrzydzenie, ale Droam mogła w każdej chwili ukarać swoje sługi bólem tak okropnym jak nic, czego Aandred zaznał jako człowiek.

- Być może, ale rozpraszaają mnie tym bezustannym węc-

szeniem i drapaniem. Wyprowadź je, ale najpierw oddaj mi więźnia. Kiedy wrócisz, przystąpimy do dzieła.

Piękne ciało wzięło kobietę na rękę, szeroko otwartymi oczyma przypatrywała się dwóm niesamowitym postaciom. Aandred odwrócił się i gwizdnął na psy. Kiedy wyszły za nim nakazał im gestem, żeby się położyły.

– Zostańcie tutaj – polecił, po czym wrócił do komnaty, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Idąc w kierunku tronu zerknął w głąb splotu logicznego, pod splątaną powierzchnią makromolekuł, zawierających w swoich zwojach całą inteligencję Droam, kłębiło się gorące światło. Przez chwile pomyślał o tym, jak dobrze by było mieć w tej chwili w dłoniach małą bombę zapalającą, ale natychmiast odegnał te myśli, czcze marzenia nie miały żadnego sensu.

Kiedy znalazł się u podwyższenia, spojrzął w piękne, lśniące srebrem rysy, poczuł nagle ogromną wdzięczność za to, że jego własne zamaryły w wyrazie szaleńczego entuzjazmu. Gdyby Droam kiedykolwiek odgadła jego mordercze zamiary, nie omieszkałaby się w okropny sposób zemścić.

– Przynieś sondę – poleciła.

Zbieraczka czyniła rozpaczliwe wysiłki, żeby się wyrwać, ale Droam nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Aandred wy dobył sondę zza zasłony ze srebrnej koronki. Urządzenie było pokryte kurzem, ale ożyło natychmiast, gdy tylko uniósł pokrywę tablicy kontrolnej. Czarna powierzchnia rozjarzyła się setkami światełek, wizjer sygnalizował, że znajduje się w pełni gotowości, a zaopatrzone w kłamry i uchwyty krzesło otworzyło się automatycznie, gotowe na przyjęcie kobiety. Wiła się i szlochała, ale z jej ust nie wyrwało się ani jedno słowo prośby. Aandred pomógł Droam

przypiąć ją do krzesła, po czym odstaąpił krok wstecz i pogrzył się we wspomnieniach, podczas gdy ona zajęła się ustawianiem i dostrajaniem maszyny.

W dawnych czasach zdarzało się nieraz, że jakiś gość usiłował opuścić wyspę bez uregulowania rachunku. Jeżeli nie był to nikt ważny ani wpływowy, Droam polecała wówczas Aandredowi przyprowadzić go do tej komnaty, gdzie za pomocą sondy starała się uzyskać informacje o finansowych zasobach klienta i w ten sposób zapewnić pokrycie kosztów. Wówczas jeszcze Aandred żywił złudne przeświadczenie, że jego Przywołanie służy jakimś sensownym celom. Jakież byłem głupi, pomyślał. Trup to trup.

Oczy kobiety przybrały wyraz rozmarzenia, a napięte rysy jej twarzy wyraźnie się rozluźniły. Wizjer wypełnił się ciemnymi kształtami, zaś z emfamanatora popłynęły wydobyte z zakamarków pamięci wspomnienia, sącząc się bezpośrednio do umysłu Aandreda.

...hałas na skraju lasu. Rozlega się donośny trzask, a potem pojawia się jakaś niesamowita postać, zbyt okropna, by ją od razu rozpoznać. Jakby gigantyczny człowiek na ogromnym, czarnym koniu... Oczy konia: żółte płomienie. Jebaum strzela z kuszy, a potwór wydaje ogłuszający ryk i rozrywa go na strzępy. Zabić, zabić, zabić to i monstrum, oczy zalewa czerwona wściekłość. Uderzenie, zawieszenie w powietrzu, jeszcze straszniejszy widok: coś jakby żywe, błyszczące metalem szkielety psów gnające na oślep przez polaną z wyszczerzonymi kłami i płonącymi jasno ślepiami...

Aandred odwrócił się, a Droam wydała zniecierpliwiony odgłos i dotknęła manipulatorów na tablicy.

– To bardzo efektowne, Myśliwczynie – powiedziała – ale akurat w tej chwili zupełnie dla mnie nieprzydatne.

Ciemne kształty zafalowały i znikły, ustępując miejsca innym.

...ciepły, słodki zapach piersi Matki. Obraz tak pełen złościstego światła i płynnej, zmieniającej się ostrości, że z całą pewnością widziany oczami bardzo małego dziecka. Pieszczota Matczynej dłoni, delikatny szept, dotknięcie ciepłego promienia słońca, radosny śmiech...

Droam spróbowała jeszcze raz.

...letnia noc, ciężka od zapachu morza. Pogrążona w ciemności plaża i płonące w oddali, świąteczne ognie. Ucieczka przez białe wydmy przed Mondeaux. dotyk jego dłoni, kiedy ją złapał, stwardniałych od sieci i delikatnych, gdy trzyma ją w objęciach. Jego oddech, pachnący winem i pożądaniem. Bicie serca, kiedy kładzie ją na swoim podartym płaszczu i płomień dotyku, który czuje na całym ciele...

Aandred nie miał serca, które mogłoby walić jak młot, ale był świadom wzbierającego gdzieś w jego głębi ogromnego uczucia próbującego za wszelką cenę wydostać się na powierzchnię. Zamknął oczy, zacisnął z całej siły pięści i czekał, aż minie to niezwykle zjawisko. Droam niczego nie zauważyła. Wydawało się, że na pięknej masce pojawił się grymas zniechęcenia.

– To na nic... Od razu wpadam w najgłębsze pokłady pamięci. Nic świeżego, z wyjątkiem jej pojmania. Co się z nią dzieje?

Aandred spojrział na Droam.

– To istotnie ciekawe – zauważył z powściągliwym zdziwieniem. – zaczekaj, mam pewien pomysł, możliwe, że głupi, czy nie może to mieć coś wspólnego z tym, że przed godziną na jej oczach zamordowałem jej sześciu przyjaciół?

Droam zmierzyła go przeciągłym, chłodnym spojrze-



niem.

– W niebezpieczny sposób wykorzystujesz swoje poczucie humoru, Myśliwcze.

Zdziwienie zniknęło, pozostawiając po sobie tylko zmęczenie.

– Przepraszam.

– Ale, rzecz jasna, masz racje. Potrzebuje czasu, żeby dojść do równowagi. powierzam ją twojej opiece, oczyść ją z pasożytów, nakarm, napój i pilnuj, żeby nie spotkało ją nic złego.

– A gdzie mam ją trzymać? Nie lepiej oddać ją pod opiekę kogoś spośród tych, którzy mają doświadczenie w zajmowaniu się gośćmi? Zdaje się, że miała na to ochotę Granat.

Natychmiast pożałował swoich słów, przypomniawszy sobie wyraz jej twarzy.

Na szczęście Droam odrzuciła jego sugestie. – Zabierz ją do psiarni, chyba znajdzie się tam jakiś wolny wybieg? Zaś co do Granat i innych członków załogi... Wydaje mi się, że przez te lata bezczynności zrobili się jacyś dziwni. Niewykluczone, że gdy znowu staniemy się popularni, będę musiała wymienić ich na nowych Przywołanych. Poza tym, ta Zbieraczka jest więźniem, a nie gościem.

Ciało Droam zamarło w bezruchu a piękne oczy straciły swój blask. Aandred podniósł nieprzytomne ciało kobiety z krzesła sondy, jej głowa opadła do tyłu, ręce zwisały bezwładnie, zaś na wpół rozchylone usta miały niebieskawy odcień. Z niewyjaśnionych przyczyn ogarnął go nagle strach, czy aby nie umarła – dla niektórych gości przesłuchanie kończyło się właśnie w ten sposób. Jednak kiedy nachylił się nad nią poczuł na swoim zranionym policzku ciepło oddechu, a na szyi, tuż przy obojczyku dostrzegł delikatne pulsowanie. Uspokoiwszy

się wyszedł do czekających na niego psów.

Psiarnia. składała się z jednego dużego, wspólnego wybiegu i wielu małych, indywidualnych, usytuowanych wzdłuż dłuższej ściany, w krótszej znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego, surowego pokoju Aandreda. Niczym nie ozdobione, granitowe ściany były pozbawione okien, ale umieszczone w suficie lampy dawały wystarczająco dużo światła. W kącie stał duży stół warsztatowy i szafka ze sprzętem diagnostycznym.

Wniósł kobietę do pokoju i ułożył ją w ściennej niszy, w której przesypiał okresy nieaktywności, a następnie zamknął psy w ich pomieszczeniach i zaczął się zastanawiać.

Jak ją wykapać? W części zamku przeznaczonej dla załogi nie znajdowały się żadne udogodnienia dla ludzi, on sam spłucze brud i kurz ze swojej powłoki spryskując się zawierającym smar rozpuszczalnikiem. Najchętniej w ogóle by jej nie dotykał, ale rozkazy Droam były wyraźne.

Wreszcie zaniósł ją na pietra, gdzie niegdyś mieszkały żywe prostytutki, przeznaczone dla tych gości, którym religijne nakazy lub przesady nie pozwalały kopulować z Przywołanymi. Dziwki zniknęły przed czterystu laty, ale z kranów wciąż ciekła czysta woda i odżywcza zupa.

Położył ją na łożu ze śliskiego plastiku i zdjął z niej poszarpany strój. Zwrócił uwagę, że skóra, z której go wykonano była doskonale wyprawiona, co świadczyło o sporym zaangażowaniu technologicznym, ale mimo to wrzucił go do zsypu na odpadki.

Kiedy była już naga przyglądał się jej tak długo, aż nasycił swoją ciekawość. Kiedy po raz ostatni widział prawdziwą kobietę? Nie potrafił sobie przypomnieć. Była wysoka, miała niewielkie piersi i długie, umięśnione uda. Jej ciało, rzecz ja-

sna, było dalekie od doskonałości: na boku widniały stare, srebrzyste blizny, być może pozo. stałość po pazurach jakiejś dzikiej bestii. Jej jasna skóra była gładka, choć oczywiście nie tak, jak ciała mieszkających w zamku Przywołanych kobiet. W miejscach, gdzie chwyciły ją ręce Aandreda widniały siniaki i zadrapania. Włosy... Włosy musiały być wspaniałe, choć teraz przypominały skołtunioną gęstwinę, zasłaniającą jej twarz. Nachylił się i rozgarnął je palcami, szukając pasożytów, ale ku swemu zdziwieniu żadnych nie znalazł.

Obmył ją gąbką nasączoną płynem dezynfekującym, a następnie starannie wytarł. To dziwne, ale rola służącego, którą narzuciła mu Droam nie sprawiała mu przykrości. Dotykanie ciała żywej kobiety wywoływało dziwną, niezwykłą fascynację.

Kiedy skończył, przeszukał dokładnie całe pomieszczenie. Większość spośród wiszących w szafach ubrań rozsypała się w proch pod jego dotknięciem, z wyjątkiem wykonanego z odpornego, sztucznego tworzywa szlafroka. Wziął go, a następnie podszedł do toaletki i otworzył szufladę, w jakiś tajemniczy sposób na znajdujących się tam szczotkach i grzebieniach przetrwał ledwo uchwytny, pochodzący sprzed wieków zapach perfum. Tknięty nagłym impulsem wybrał jeden z grzebieni i włożył go do kieszeni szlafroka. Uniósłszy wzrok ujrzał w lustrze swoje odbicie: wykrzywiona w szaleńczym grymasie, czarna twarz, płonące czerwienią oczy, wyszczerzone zęby. Nie jestem zbyt urodziwy, pomyślał ponuro.

Zaniósł ją z powrotem na dół, do psiarni. Po drodze poruszyła się w jego ramionach i zorientował się, że już odżyła przytomność, ale nadal nie otwierała oczu, pozwalając swoim kończydom zwieszać się bezwładnie.

Ułożył ją w należącej kiedyś do Ceruleana zagrodzie na

macie ze sztucznej trawy, obok zostawiając szlafrok. Cerulean był jednym z jego ulubieńców aż do dnia, kiedy wpadł do studni i uszkodził nieodwracalnie jeden z kryształowych nośników osobowości. Jego puste ciało wciąż jeszcze leżało na stole w pokojach Aandreda.

Zamknął starannie drzwiczki, po czym wziął dwa czyste, metalowe naczynia i poszedł jeszcze raz na górę, gdzie napełnił jedno z nich wodą, a drugie zupą.

Znalazłszy się ponownie w psiarni wsunął je do zagrody przez zasłoniętą odchylną klapką otwór u dołu drzwiczek.

– Jedz i pij. Będziesz potrzebowała dużo sił.

Leżała bez ruchu, odwrócona do niego plecami.

– Rób jak chcesz – wzruszył ramionami... – Nikt nie będzie cię tutaj niepokoił. Na razie jesteś bezpieczna.

Otworzył klapkę w przedramieniu i położył psy spać, żeby jej nie przestraszyły. Zamarły w bezruchu, spoglądając przed siebie pociemniałymi oczami, a Aandred wszedł do swego pokoju.

Wewnętrzny zegar wyrwał go z zastępującego mu sensu bezczynnej nieświadomości. Odłączył kabel zasilania i wstał ze swojej niszy, jego stopy opadły z łoskotem na podłogę... Zza drzwi dobiegł przeraźliwy krzyk, a zaraz potem metaliczny grzechot.

Aandred szybkim krokiem skierował się do psiarni. Przy drzwiczkach zagrody, w której znajdował się więzień przykucnął Król Trolli Merm, próbując dosięgnąć ją olbrzymich rozmiarów widelcem o długiej rękojeści. Dziewczyna kuliła się w najdalszym kącie, tuż poza jego zasięgiem, wpatrując się w ohydłą postać rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Ejże, co to ma znaczyć? – zapytał Aandred, zbliżając się z zaciśniętymi pięściami. Czy to możliwe, żeby Merm odważył

się wdrzeć bez pozwolenia do jego domu?

Pokryta naroślami twarz trolla była wykrzywiona perwersyjną radością, ale jej wyraz błyskawicznie zmienił się w podszytą strachem bezczelność.

– Witaj, Myśliwcze. Po prostu się bawię. O twoim więzieniu głośno w całym zamku, więc musiałem ją sobie obejrzeć. Drzwi były otwarte, a wydawało mi się, że nie będziesz miał nic przeciwko towarzystwu.

– Czy kiedykolwiek dałem ci do zrozumienia, że uważam cię za "towarzystwo"? – zapytał z odrazą Aandred. – Idź precz, a na przyszłość pamiętaj, że od tej pory zawsze będę zostawiał jednego aktywnego psa. Jeżeli nie wiesz, co to znaczy to dowiesz się, gdyby przyszła ci ochota jeszcze raz tutaj zajrzeć.

Merm wyprostował się powoli, trzymając przed sobą widelec niczym jakiś oręż. Jego małe oczy rzucały wściekłe błyski.

– Droam na pewno nie będzie tym zachwycona. Jestem wiele wart, zrób mi coś, a poczujesz na sobie jej gniew.

Aandred uniósł rękę, wskazując wyjście. Tchórzliwa odwaga Merma prysnęła niczym bańka mydlana i troll pokuśtykał w tamtą stronę. Przy drzwiach odwrócił się i rzucił jałdowite spojrzenie, obejmując nim Aandreda, jego psy i więźnia.

Aandred zajrzał do zagrody. Dziewczyna zdążyła założyć szlafrok i zrobić użytek z grzebienia, jej włosy rzeczywiście były nadzwyczaj piękne, okalając pełną niezwykłego uroku twarz niczym gęsta, jedwabista grzywa. Jej wlepione nieruchomo w Aandreda oczy były rozszerzone przerażeniem, ale nie ulegało wątpliwości, że i w spokojniejszych okolicznościach trudno byłoby zaliczyć je do małych: Miała odrobinę zbyt wystające kości policzkowe, mocno zarysowaną brodę i

pełne wargi.

Dopiero teraz zauważył, że nie tknęła żadnego z naczyń.

– Nie chce ci się jeść? Pić?

Zamrugła powiekami i uciekła spojrzeniem gdzieś w bok.

– Ach, rozumiem: boisz się trucizny i narkotyków, mam racje? Nie zaprzataj sobie tym głowy, sonda działa lepiej od każdego narkotyku, a gdyby Droam chciała już teraz twojej śmierci, mogłaby to zrobić na tysiąc różnych sposobów.

Był zdziwiony, kiedy odpowiedziała, bo już prawie przyzwyczaił się myśleć o niej jako o niemowie

– A ty, żelazny potworze? W nocy dowiodłeś przecież, że jesteś znakomitym mordercą. Czy ty też chcesz mnie zabić? A jeśli tak, to ile znasz sposobów, żeby tego dokonać? – Mówiła z goryczą, niskim i delikatnym głosem, prawie szeptem. Jej akcent był mu zupełnie nieznanym.

Omali nie wybuchnął swoim straszliwym śmiechem, ale w porę się powstrzymał. Z jakiegoś niejasnego powodu nie chciał jej przestraszyć.

– Nie, ja już nie pragnę niczyjej krwi. Może co najwyżej Merma, ale on nie ma jej ani kropli. – I Droam, oczywiście – Merm to ten zielony przykurcz, którego właśnie wyrzuciłem z psiarni, zdaje się, że chciał cię nadziać na swój widelec.

Zadrzała.

– Dopóki go nie zobaczyłam myślałam, że ty jesteś najszkaradniejszym stworem, jaki istnieje na świecie. Czy tutaj nie ma nikogo oprócz bogów i demonów?

– Bogów? Ach, rozumiem: mówisz o ciele Droam. Zapewniam cię, że to nie był żaden bóg, tylko marionetka taka sama jak ja, wykonana po prostu z szlachetniejszych materiałów.

Zamilkła, wydając się być głęboko pogrążona w myślach. Po pewnym czasie uniosła naczynie z wodą i napiła się do syta. Aandred przyglądał się jej z zastanowieniem. Biorąc pod uwagę to, co ją spotkało, była zadziwiająco opanowana. Czy ludzie tak bardzo się zmienili, czy też ona była po prostu niezwykłą kobietą?

Obudził psy. Machając ogonami podniosły się ze swoich legowisk. Jak każdego ranka dał im ich zwykłą porcję pseudożywności – był to rytuał, który zawsze witały z jednakowym entuzjazmem, choć nie służył niczemu innemu jak tylko dostarczeniu im przyjemnego bodźca. Pseudożywność przechodziła przez nie niezmieniona, a po uzupełnieniu składników smakowych i zapachowych była im ponownie podawana.

Kiedy psy skończyły śniadanie, Aandred postanowił zająć się naprawą przetwornika węchowego Umber. Wypuścił ją z zagrody, a ona zaczęła radośnie skakać. Kobieta przyglądała się temu z pobladłą twarzą. Aandred potrząsnął głową, trudno było się jej dziwić. Jaka to musiała być śmierć, zostać rozszarpanym przez psy? Jego własna była bardzo spokojna: ukłucie igły, apatia, wreszcie nicość.

Odsunął na bok puste ciało Ceruleana, doświadczając przy tym znajomego, krótkotrwałego żalu, po czym gwizdnął na Umber i pstryknął palcami. Wskoczyła zwinnie na pokryty warstwą izolacji blat stołu i czekała, co będzie dalej, machając wesoło ogonem.

– Dobry piesek – powiedział gładząc ją po grzbiecie, a ona przeciągnęła się z rozkoszą. Podniósł pokrywę tablicy kontrolnej i nacisnął przycisk. Pies znieruchomiał niczym pełen wdzięku posąg, a on sięgnął po śrubokręt i otworzył znajdujący się w mostku moduł kontrolny.

Wyjął zajmujący osobną płytkę przetwornik i zaczął go

sprawdzać, przykładając do różnych miejsc końcówkę analizatora. Wkrótce zlokalizował uszkodzenie – obluzowana kość pamięci. Odłączył ją, skontrolował styki, po czym wsadził z powrotem na miejsce

Po schowaniu modułu i uaktywnieniu Umber wszystkie wskaźniki na jego przedramieniu jarzyły się spokojną zielenią. Pies zeskoczył ze stołu i kilkakrotnie obiegł całe pomieszczenie, wypełniając je odgłosem swoich mechanicznych szczeknięć.

– I co, lepiej? – zapytał Aandred.

Dziewczyna przyglądała mu się, przyciśnięta do drzwi swojej zagrody.

– Dziwnie mówisz, jak na maszynę – zauważyła.

– To dlatego, że my nie jesteśmy maszynami – odparł. – W każdym razie, nie do końca.

– Jak to?

Wziął sobie stołek i usiadł na nim naprzeciw niej. Cofnęła się, ale tylko o pół kroku, potrafiła zapanować nad strachem.

– Kiedyś wszyscy byliśmy żywymi istotami, takimi jak ty – powiedział. – Ja, psy, nawet szczury w lochach. Nawet Merm. Kiedyś żyliśmy, a teraz jesteśmy martwi. Z wyjątkiem Droam, bo ona zawsze była maszyną.

Przysunął stołek do drzwi zagrody i oparł się o żelazne pręty. Tym razem dziewczyna nie odsunęła się, choć zmrużyła czujnie oczy.

– Mam ci to wyjaśnić? – zapytał. – A co mi dasz w zamian, jeśli to uczynię? – Jeszcze nie skończył mówić, kiedy poczuł coś w rodzaju wstydu. Dlaczego stara się ją nastraszyć? Stare, obrzydliwe nawyki, pomyślał. Ona i tak już wkrótce pozna, co to strach, kiedy Droam odda ją trollom, a wkrótce po-



tem umrze – Zresztą, nieważne Powiedz mi tylko, jak się nazywasz. To wystarczy.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

– Dobrze, to i tak chyba nie może mi zaszkodzić. Nazywam się Sundee Gareaux. – Uniosła w górę brodę i spojrzała mu twardo w oczy, jakby spodziewała się, że zareaguje wybuchem śmiechu.

Jest bardzo odważna, pomyślał.

– W takim razie słuchaj – powiedział.

Zaczął od samego początku, kiedy to przed siedmiuset laty SeedCorp dotarła nad Morze Wyspowe i wybudowała Droam, ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy dla specjalnych klientów, zafascynowanych legendami o Dawnej Ziemi. Zamek zajmował obszar kilkunastu hektarów, zaś jego wieże wznosiły się trzysta stóp nad szczytem najwyższego wzgórza na wyspie. Budowniczości wyposażyli Droam w potężną, sztuczną inteligencję, a następnie przystąpili do realizacji swego niezwykłego planu.

– To był naprawdę wspaniały pomysł – mówił Aandred. – Początkowo mieli zamiar zaludnić Droam robotami skonstruowanymi na podobieństwo mieszkańców Dawnej Ziemi – elfów, trolli, wrózek, krasnali, czarnoksiężników i wiedźm. Jednak najsprytniejszy z nich, a była to kobieta sprawująca nadzór nad pracami wykończeniowymi na zamku, wpadła na pewien pomysł, otóż roboty miały jedną, zasadniczą wadę: ich zachowanie można było dokładnie przewidzieć. A przecież goście mogli odwiedzać Droam nawet kilkanaście razy w ciągu życia, więc gdyby za każdym razem stykali się z identycznym postępowaniem, nie nacechowanym ani właściwym ludzom irracjonalizmem, ani ich słabościami, z pewnością szybko by im to się znudziło, czyż nie tak?

Sundee Gareaux wpatrywała się w niego z uwagą.

– Więc?...

– Więc postanowiono wyposażyć ciała robotów w osobowości Przywołanych.

– Co to są ci... przywołani?

– Duchy. Wszyscy mieszkańcy Droam to duchy. Na przykład te psy... To duchy szczeniąt, które umarły dla Droam siedemset lat temu. Zabito je, jestem pewien, że bezboleśnie, po czym zarejestrowano zapisy ich małych duszyczek, by mogły brać udział w Polowaniu.

W oczach dziewczyny pojawiła się odraza.

– Czy ty też właśnie w taki sposób stałeś się tym, czym jesteś? Zostałeś zabity, żeby znaleźć się we wnętrzu maszyny?

– Niezupełnie – zarechotał ochryple – Może dwóch lub trzech Przywołanych trafiło tu w ten sposób, byli to umierający ludzie, którzy sprzedali swe dusze, żeby pozostawić pieniądze rodzinom, a sami chcieli uzyskać szansę na coś w rodzaju drugiego życia. Jednak większość z nas to skazani i straceni przestępcy, których osobowości sprzedano na aukcji, by choć częściowo pokryć koszty naszych zbrodni.

Odraza dotarła także do jej ust.

– Więc ty zawsze byłeś mordercą?

Siedział i spoglądał na nią bez słowa, aż wreszcie odwróciła wzrok. Zaniepokojona Umber zaskomlała i otarła mu się o nogę. W końcu odpowiedział:

– Oczywiście. Byłem słynnym piratem, miałem swoją bazę na Sook, skąd wyruszałem na wyprawy przeciwko kolejnym planetom, które łupiłem bez litości, zawsze się śmiejąc. Tak, byłem mordercą, zabijałem setkami i tysiącami, i nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Krwawa mgła wspomnień zmąciła mu na moment ostrość widzenia. – Ale potem miałem

dość czasu, żeby się zastanowić.

– Doprawdy? W nocy nie sprawiałeś wrażenia kogoś, komu zabijanie przychodzi z najwyższym trudem!

W jej oczach pokazały się łzy.

– Rządzi mną Droam. Gdybym jej nie posłuchał, chcąc ocalić bandę złachmanionych Zbieraczy, natychmiast by mnie zlikwidowała. W nasze ciała są wbudowane odpowiednie zabezpieczenia na wypadek, gdyby przyszła nam ochota oszaleć lub zaatakować bezbronnych turystów. Nie zapominaj, że wszyscy byliśmy kiedyś groźnymi przestępcami. – Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej ze smutkiem w głosie. – To prawda, że jestem już martwy, ale z drugiej strony to jedyny rodzaj życia, na jaki jeszcze mogę liczyć, więc nie śpieszy mi się. zbytnio, żeby je utracić.

– Rozumiem – powiedziała pośępnie – A co stało się z gośćmi?

Zacisnął dłonie na żelaznych prętach, które wygięły się lekko pod wpływem jego siły.

– Jakies czterysta lat temu zmieniła się moda i nagle Droam stała się czymś przestarzałym. Turyści stopniowo przestali przyjeżdżać, aż wreszcie zupełnie o nas zapomniano. Droam jest przekonana, że kiedyś znowu do nas zawitają, ale ja tak nie sądzę. Na Wyspowym Morzu były także inne ośrodki wypoczynkowe i wszystkie spotkało to samo. Oczywiście wy, Zbieracze, dobrze o tym wiecie, bo życie właśnie w ich ruinach. Droam zawsze była najpotężniejsza i jest całkiem możliwe, że uda się jej w nieskończoność odpierać wasze ataki, w każdym razie, taki ma zamiar.

– Ataki? – powtórzyła z pogardą. – Nikogo nie zaatakowaliśmy. Przyjechaliśmy po to, żeby zbadać teren, to wszystko. Na wyspie jest bardzo dużo leżącej odłogiem ziemi, dlatego

nie mielibyśmy jej uprawiać? Każdego roku rodzi się więcej dzieci, które musimy przecież jakoś wyżywić. Nie mieliśmy zamiaru niszczyć waszego drogiego zamku, bo i po co mielibyśmy zadawać sobie tyle trudu?

Aandreda rozbawiło jej zuchwalstwo.

– Cóż to za pomysł? Pola rzepy w Dolinie Świąteł, Zbieracze uganiający się za grzybami w Lesie Dimlorn, rybacy łowiący w Czarnej Rzece. Wątpię, żeby Droam to się spodobało.

Jej oczy zapłonęły gniewem.

– Powiedziałaś ci, jak się nazywam, czy ty masz jakieś imię?

– Droam nazywa mnie Myśliwym, ale kiedy jeszcze byłem człowiekiem nosiłem inne imię: Aandred. Kiedyś budziło wszędzie strach i nienawiść, teraz... Teraz nie ma żadnego znaczenia... – Jego głos przeszedł w szept. – Sam prawie je zapomniałem – skłamał.

Wypuścił psy z zagród, a one natychmiast zaczęły radośnie uwijać się po całym pomieszczeniu. Crimson uważnie obwąchał drzwi do zagrody Sundee, pomachał ogonem i pobiegł dalej. Aandred zauważył, że jej twarz wyraźnie pobladła.

– Nie bój się. – powiedział. – Nie zrobią ci krzywdy, dopóki nie zaczniesz uciekać.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– Zobacz, jakie to ładne.

Otworzył pojemnik wbudowany w jego prawe biodro i wydobył stamtąd ich ulubioną zabawkę, magiczną piłeczkę, w której wnętrzu znajdował się mały, mechaniczny homunculus. Przed wielu laty udało mu się zwędzić ją jednemu z mieszkających w wieży czarowników. Rzucił ją, a ona potoczyła się po podłodze błyskając kolorowymi światełkami, ciągnąc za sobą strużkę fioletowego dymu i wydając komiczne, głośne piski.

Psy skoczyły za nią z radosnym ujadaniem, pierwsza dopadła ją Sienna i przyniosła mu ją dumnie w pysku, nie zważając na zazdrosne skomlenie pozostałych. Rzucił piłeczkę ponownie, co zaowocowało kolejną, szaleńczą gonitwą.

Po pół godzinie psy znudziły się i obsiadły dookoła swego pana. Wydawały się być zafascynowane uwięzioną kobietą, obserwowały ją uważnie świecącymi oczami, wystawiwszy z paszcz długie, srebrne jęzory.

Sundee Gareaux odwzajemniła im się nie mniejszym zainteresowaniem.

– Mają dziwny wyraz oczu – zauważyła po pewnym czasie. – Zupełnie, jakby znały jakąś tajemnicę.

– Bo to nie są zwyczajne psy. Kiedy żyły, były bardzo inteligentnymi szczeniakami, a przez siedemset lat nawet pies może się sporo nauczyć. – Może nawet więcej, niż człowiek, pomyślał. – Nieraz zastanawiam się, ile one tak naprawdę rozumieją – mruknął, gładząc łeb Umber. – Mimo wszystko, to jednak tylko psy...

Dziewczyna milczała przez dłuższą chwilę, przyglądając się zwierzętom, a potem podniosła na niego zdziwione spojrzenie

– Teraz wcale nie wydają się takie groźne – powiedziała. – To dziwne, bo przecież jeszcze tak niedawno zabijały z zimną krwią... Wtedy przypominały potwory z najgorszego koszmaru, a teraz dostrzegam w nich wdzięk, a nawet coś w rodzaju piękna.

– Oczywiście, że są piękne – potwierdził z przekonaniem. – Spośród wszystkich istot należących do Droam one są najładniejsze i najczystsze. Nie powinnaś ich winić za śmierć swoich przyjaciół, robią tylko to, do czego zostały stworzone i czego je nauczono. Zapewniam cię, że bawiłyby się swoją pi-

łeczką równie chętnie, gdybyś to ty im ją rzuciła, nie ja.

Przez kilka chwil skoncentrował swoją uwagę na psach, a kiedy ponownie spojrzął na dziewczynę zobaczył, że leży na macie odwrócona do niego plecami, najwyraźniej pogrążona we śnie.

Ten dzień minął podobnie, jak sto tysięcy innych dni. Aandred bawił się z psami i myślał o swoim poprzednim życiu, o tych okropnych, wspaniałych latach. Jednak jego wspomnienia stawały się coraz bledsze, jak gdyby zniszczone zbyt częstym używaniem i po jakimś czasie zorientował się, że jego myśli coraz częściej kierują się w stronę uwięzionej kobiety. Jak wyglądało jej życie? Urodziła się w społeczeństwie znajdującym się w stanie głębokiego regresu, składającym się z potomków zagubionych turystów i zbiegłych niewolników, na pokrytej czarnym oceanem planecie, do której dawno już przestały docierać statki kosmiczne Mogła Oczekiwać jedynie życia pełnego cierpień i wczesnej śmierci. Nie miała żadnych szans na to, żeby poznać cuda zamieszkaną przez ludzi Galaktyki: nigdy nie ujrzy kapiących przepychem komnat Dilvermoon ani obskurnych korytarzy Beasterheim, nigdy nie zobaczy z kosmosu żadnej planety, lśniącej niczym klejnot na najszlachetniejszym atlasie, nigdy nie doświadczy tysięcy zbytków i przyjemności, które on w swoim prawdziwym życiu uważał za zupełnie naturalne.

Potrząsnął głową, bezsensowne brednie. Sundee Gareaux bez wątpienia ceniła sobie swoje życie takim, jakie ono było, podobnie jak on cenił swą sztuczną egzystencję. A może nawet bardziej, przemknęła mu ponura myśl, ale przestraszył się jej i prędko odsunął ją od siebie Szkoda, że ona musi skończyć jako zabawka trolli. Postanowił, że zanim odda ją Mermowi złamie jej kark, Droam z pewnością nie będzie miała nic

przeciwno temu, a dziewczynie zaoszczędzi to trudnych do wyobrażenia okropieństw.

Kiedy dzień zamienił się już w wieczór, odezwał się brzęczyk i z zainstalowanego w ścianie głośnika rozległ się głos Droam:

– Myśliwczu, przyprowadź więźnia do sali audiencyjnej.

W szafce, której nie otwierał od ponad stu lat znalazł wysadzaną drogimi kamieniami smycz.

– Chodź – zwrócił się do Sundee – Musisz to założyć. Mam cię dostarczyć bez żadnych kłopotów.

Cofnęła się, dotykając ściany plecami.

– A jeżeli obiecuję ci, że nie będę uciekać?

– Przykro mi – odparł. Na twoim miejscu obiecałbym wszystko, czego by ode mnie zażądano, a potem uciekłbym przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jesteś ode mnie zwinniejsza i chociaż nigdy nie udałoby ci się wydostać z zamku, mogłabyś zwodzić mnie przez jakiś czas. Droam uśmierzałyby swoje zniecierpliwienie zadając mi ból.

Pochyliła głowę, a on zapiął jej na szyi obrozę Psy skałały na drzwi swoich zagród, mając nadzieję że zabierze je ze sobą.

– Bądźcie grzeczne, pieski – powiedział. – Tym razem musicie zostać. Niedługo wrócę

Szli jasno oświetlonymi korytarzami zamku ze smyczą zwisającą luźno między nimi. Dziewczyna rozglądała się ze zdziwieniem. Tak wczesnym wieczorem tylko niewielka część załogi zamku uwijała się po jego pomieszczeniach, ale i tak minęli kilka karłowatych sprzątaczy, uzbrojonych w wiadra z wodą i ultradźwiękowe zmiotki, siwobrodego czarnoksiężnika, któremu towarzyszyła młodociana asystentka, trzy chichoczące w ciemnym kącie trolle i rudowłosa wiedźma, wspa-

niale prezentującą się w błyszczącym habicie Zakonu Czarnej Tajemnicy. Sundee przyglądała się im z uwagą.

– I oni wszyscy nie żyją... – szepnęła w pewnej chwili pełnym zdumienia głosem.

– W pewnym sensie. Oni sami uważają się za żywych. – Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że usiłuje ich bronić.

– To niesamowite – powiedziała. – Ale nie wydaje mi się, żeby byli zachwyceni swoją nieśmiertelnością. Wszyscy mają smutne, zgorzkniałe twarze

– Nie rozumiesz, dlaczego? – Nagle poczuł na swoich barkach ciężar długich, pustych lat. – W takim razie wyjaśnię ci, żebyś nie uważała nas za wybrańców losu.

Może dzięki temu łatwiej przyjdzie ci pogodzić się ze swoim losem, pomyślał.

– Załogę Droam stanowi niewiele ponad trzy tysiące Przywołanych ludzi. Czy istnieje choć jedna wioska Zbieraczy tej wielkości? Nie? Wiec zapewne wydaje ci się, że to ogromna ilość, prawda? – Wybuchnął swoim przerażającym śmiechem, a ona drgnęła nerwowo. – Byłoby tak, gdyby nasze pseudożycia trwały tyle, co wasze siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat – to dobry wiek dla Zbieracza? Tu, w Droam, jesteśmy razem już od ponad siedmiuset. Możesz to sobie wyobrazić? Spróbuj! I nie zapominaj przy tym, kim jesteśmy: mordercami, gwałciicielami, zbrojeńcami, złodziejami kradnącymi rzeczy tak cenne, że jedyną karą za ich uczynki była śmierć. Na przykład Merm był kiedyś wysokim urzędnikiem policji, osaczał młodych chłopców i dziewczęta siecią fałszywych oskarżeń, wykorzystywał ich brutalnie, a kiedy znudzili mu się, mordował ich i grzebał ciała na więziennej farmie. Przysięga, że odkryto tylko niewielką cześć ofiar, a było to ponad tysiąc ciał! Czy teraz dziwisz się złu, które maluje się na jego twarzy?



Sundee Gareaux przypatrywała mu się z mieszaniną współczucia i przerażenia w oczach.

Aandred mówił dalej, popychany do tego pasją, o której sądził, że dawno już zdążyła się w nim wypalić.

– Czy przypuszczałaś, że przesadziłem, opisując ci moje zbrodnie? Nie! A i tak w porównaniu z większością mieszkańców Droam mógłbym uchodzić za wzór wszelkich cnót. Kradłem tylko bogatym, byłem brutalny tylko wobec brutalnych, atakowałem tylko tych, którzy mogli się bronić. Przyznaje, że byłem piratem, ale już raczej Don Kichotem, niż potworem! – Gdyby pozostawiono mu gruczoły łzowe, może by nawet zapłakał, a tak to tylko z całej siły uderzył pięścią w ścianę. Gładka, marmurowa powłoka rozbryła się na drobne fragmenty, odsłaniając znajdujący się pod spodem szary beton.

Sundee odsunęła się najdalej, jak tylko pozwalała jej smycz i wpatrywała się w niego z przerażeniem, przyciskając do ust złożone dłonie. Odprysk marmuru trafił ją w policzek, po którym ciekła teraz cienka strużka krwi.

– Przepraszam – powiedział. – Zbytnio się uniosłem. Nie obawiaj się, zaraz wrócę do normy.

– Dlaczego stąd nie uciekniesz? – Po raz pierwszy z jej głosu zniknęła obecna tam cały czas nuta nienawiści. – Z pewnością są tu jakieś łodzie

– Och, oczywiście Piękne łódki pływają po Czarnej Rzece, a pogrzebowa galera Króla Elfów jest przycumowana do jego pawilonu na Cichym Brzegu. Ty nic nie rozumiesz: Droam w każdej chwili wie o nas wszystko i może mnie unicestwić lub okrutnie ukarać jedną swoją myślą. Oprócz tego bez jej pomocy nie moglibyśmy zachować naszych osobowości, zginęlibyśmy, odcięci od regeneratorów energii i urządzeń naprawczych. Gdybym uciekł, lub gdyby Droam została znisz-

czona, funkcjonowałbym jeszcze najwyżej pięć lub dziesięć lat.

– Czy ona zna również wasze myśli?

– Nie, mamy przynajmniej tyle swobody. Ona może przemawiać bezpośrednio do naszych umysłów, ale żeby jej w ten sam sposób odpowiedzieć, musimy korzystać ze specjalnych urządzeń, w jakie jesteśmy wyposażeni. Dzieje się tak tylko dlatego, że zbyt wielka ilość działających cały czas, bezpośrednich połączeń doprowadziłaby do nadmiernego rozrzedzenia jej intelektu, a w rezultacie do jego unicestwienia. – Westchnął. – Mimo to wydaje mi się, że przez te lata do jej umysłu przeniknęła cześć wypełniającej nasze dusze ciemności.

Szli dalej w milczeniu. Kiedy znajdowali się już blisko sali audiencyjnej, Sundee odezwała się ponownie:

– Nadal jednego nie rozumiem: dlaczego oni chcieli wyczuwać wśród potworów?

– Starali się uzyskać to, co wówczas nazywano "ponurą wspaniałością". Udało im się, ale potem przyszła inna moda...

– Co to jest? – zapytała, kiedy idąc przez sale audiencyjną mijali studnie zawierającą splot logiczny zamku.

– Droam, a ściślej jej mózg i świadomość. – Wyczuł, jak dziewczyna napina wszystkie mięśnie i zacisnął mocniej dłoń na smyczy. – Uspokój się, Sundee To, o czym myślisz, nie ma najmniejszego sensu. Przypatrz się uważnie: widzisz, jak światło załamuje się w czaszy pola siłowego? Jeżeli nawet skoczysz w dół, ono nie dopuści do tego, żebyś wpadła w splot, chyba że ważyłabyś dziesięć razy więcej niż teraz. Taka masa, jak sądzę, mogłaby przebić czaszę – Pociągnął za smycz. – Poza tym, gdybyś zabiła Droam, ja również bym zginął. Chyba nie chciałabyś mieć mnie na sumieniu, prawda? – Chciał, żeby zabrzmiało to jako dowcip, ale twarz dziewczyny była pełna

behradnej rozpaczy.

Ciało Droam czekało obok sondy.

– Ach – powiedziała – oto i nasz gość.

Badanie potwierdziło najgorsze obawy Droam. Plemię, do którego należała Sundee Gareaux było zdecydowane na wszystko, nie mieli innego wyboru, jak tylko podjąć próbę zajęcia wyspy siłą. Aandred obserwował kolejne narady władz plemienia, tak jak widziała je Sundee, Wszystkie kończyły się podjęciem jednakowej decyzji: pomimo krążących wokół wyspy przerażających legend zostaną tam wysłani osadnicy.

Przy okazji dowiedział się o dziewczynie interesującej rzeczy: była w swoim plemieniu głównym autorytetem w dziedzinie sztucznych tworów, zamieszkujących Morze Wyspowe i dlatego właśnie postanowiła wziąć udział w pierwszej, rekonesansowej wyprawie.

...stała na plaży obejmując mocno swojego męża i powstrzymując napływające do jej oczu łzy.

– Nie bój się, nic nam nie będzie Nikogo tam nie było od ponad osiemdziesięciu lat, więc z pewnością wszystkie potwory już się popsuły. Entropia jest po naszej stronie – Spojrzała w dół na swego syna, zawadiackiego dwulatka o płomiście czerwonych włosach i srogim grymasie na buzi. – Obawiam się, że tobie będzie groziło znacznie większe niebezpieczeństwo, niż mnie. Bądź ostrożny i pilnuj naszego małego potworka.

Zmierzwiała rude włoski i wzięła dziecko na ręce, by je po raz ostatni uściskać. Chłopczyk przywarł do niej, choć zwykle w takich sytuacjach próbował czym prędzej wyrwać się na wolność. Po chwili ojciec zabrał go, a ona poszła przez płytką wodą do czekającej łodzi. Machała ręką dopóty, dopóki nie minęły zapory z raf i stojące na plaży postaci zniknęły w odda-

li...

Aandred ponownie zdał sobie sprawę, z tego, że ogarnia go jakieś silne, dziwne uczucie. Miał ogromne kłopoty z jego zidentyfikowaniem, jako że nie dysponował gotowymi w każdej chwili do użytku, somatycznymi etykietkami, których istnienie większość ludzi uważa za zupełnie naturalne. Gdyby żył, czy czułby na swoich policzkach łzy, a w gardle nieznośny ucisk? Czy jego pierś unosiłaby się gwałtownie, wypełniona gorzkim łkaniem? Nie wiedział tego, ale to uczucie, jakkolwiek się nazywało, niemal go oślepiło. Spojrzał w dół, na bladą, rozmarzoną twarz Sundee Gareaux i odniósł wrażenie, że jego metalowe ciało rozpadnie się pod naporem wzbierającego ciśnienia.

Zadrzał, gdy dotarły do niego słowa Droam.

– ... wiec pozostawię tobie organizacje tych zespołów, zdaje się, że powinieneś się na tym znać, prawda? Weźmiemy galerę i rozprawimy się z nimi, wyspa po wyspie. Będziemy zabijać tylu, ilu się da, palić uprawy, wysadzać w powietrze rafy, zatruwać źródła. Oczywiście, nie uda nam się zniszczyć wszystkich, ale minie wiele pokoleń, zanim rozmnożą się na tyle, żeby nam znowu zagrozić.

To chyba sen, pomyślał Aandred. Czuł się jak cień występujący w jakiejś tragicznej farsie.

– To spore przedsięwzięcie – mruknął.

– Ale niezbędne. Zamelduj mi jutro o postępie przygotowań, a za trzy dni masz być gotów do wyruszenia.

– Co z kobietą? – zapytał, nim zdążył pomyśleć.

– Daj ją Mermowi i jego kompanii. Możesz to nazwać zachętą, jeśli chcesz.

Aandred niósł ją, schodząc powoli ku niższym partiom zamku. Próbował coś wymyślić, lecz nie mógł dostrzec żad-

nego wyjścia z sytuacji. Dotarłszy do psiarni zatrzasnął za sobą drzwi i położył ją na stole, była blada, ale puls miała silny i wyraźny. Lepiej, gdyby umarła podczas przesłuchania, pomyślał. Zrób to teraz, zanim się obudzi, nigdy się nie dowie, co się stało. Położył swoje dłonie na jej delikatnej czaszce. Jak można niszczyć tak piękne życie?

Przez długą chwilę nie mógł się w ogóle poruszyć, a potem przypomniał sobie o trollach z ich płonącymi stosami i narzędziami tortur, i utwierdził się w swoim postanowieniu, ale zanim zdołał wprowadzić je w czyn, zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy, kierując ich spojrzenie prosto na niego, zupełnie jakby wiedziała, co miał zamiar zrobić. Pośpiesznie cofnął dłonie

Mijały minuty, wypełnione pełnym napięcia milczeniem.

– Co powiedziałaś? – zapytała wreszcie drżącym głosem, siadając z trudem na stole

– Wszystko. Prawdę.

– Co teraz się stanie?

Spoglądał na nią, wdzięczny za to, że zamiast twarzy ma nieruchomą maskę. Mógł dla niej zrobić przynajmniej jedno: ukryć przed nią wyrok śmierci, jaki zapadł na jej pobratymców.

– Nie wiem.

– Ale chyba nic dobrego?

Wzruszył ramionami, starając się wymyślić jakieś nieszkodliwe kłamstwo. Jego sfrustrowany umysł działał na zwolnionych obrotach, więc z wściekłością uderzył się pięścią w czoło.

Odsunęła się z przestraszeniem.

– O co chodzi, Aandred?

Od strony drzwi dobiegło donośne dudnienie

– Myśliwcze! Przyszliśmy po naszą nagrodę!

Był to obrzydliwy głos Merma. Król Trolli utykając wszedł do psiarni w towarzystwie swoich dwóch podwładnych i usiłował precyzyjnie się koło Aandreda, wyciągając ręce w kierunku dziewczyny. Jego oczy płonęły triumfującą radością i pożądaniem.

– Co za radość, co za radość...

Aandred odniósł wrażenie, że czas stanął w miejscu, wydawało mu się, że przez całą wieczność spogląda na jej przerażoną twarz, szeroko otwarte, zielone oczy, zaciśnięte usta, a potem chwila minęła. Ryknął przeraźliwie i odepchnął trolla potężnym machnięciem ręki.

Merm uderzył w ściane i padł na posadzkę, ale zaraz zerwał się na nogi.

– Jak śmiesz! – wrzasnął z wykrzywioną wściekłe twarzą. – Droam cię za to ukarze, ale najpierw my damy ci nauczkę! – Wyszarpnął zza pasa żelazną pałkę, to samo uczynili jego dwaj słudzy.

Psy z wściekłym ujadaniem cisnęły się do prętów, zaś Aandred poczuł, jak ogarniająca go wściekłość rozszerza się we wspaniałej, bezgłośniejszej eksplozji, rozświetlając swoim płomieniem nawet najdalsze, najbardziej mroczne zakątki jego duszy. Otworzył pokrywę w swoim przedramieniu, nacisnął przycisk i wszystkie zagrody stanęły otworem, psy rzuciły się na zaskoczone trolle, które zginęły, nim zdążyły wydać z siebie jakikolwiek odgłos.

Psy natychmiast zaczęły się bawić poszarpanymi, plastikowymi kukłami, zwojami drutów i fragmentami mechanizmów.

– Widzisz, jakie dobre pieski? – zapytał Aandred. – Bardzo wierne.

Sparaliżowany strachem czekał na reakcję Droam. Kiedy nastąpiła, padł wijąc się między rozbawione zwierzęta. Ból ogarnął go z niesamowitą intensywnością, pozbawiając zdolności do myślenia o czymkolwiek innym. Po, jak mu się wydawało, nieskończenie długim czasie cierpienie zelżało na tyle, że mógł usłyszeć słowa Droam.

– Przyjdź do sali audiencyjnej, Myśliwcze. Przyrowadź ze sobą te kobietę, żywą, i swoje nędzne, parszywe zwierzęta.

Ból powrócił jeszcze jedną, przejmującą falą, po czym zniknął.

Leżał jakiś czas na podłodze, zbierając siły, podczas gdy psy obwąchiwały go z niepokojem. Wreszcie podniósł się, ulegając niepohamowanemu lękowi.

– Nie mogę dłużej czekać, Sundee. Droam wezwała mnie do siebie. Ciebie też. I psy.

Ogarnął go ogromny smutek, wypełniając pozostawioną przez ból pustkę.

Trzymając lekko smycz prowadził ją do sali audiencyjnej. Twarz dziewczyny była jeszcze blada, ale szła pewnym krokiem z wysoko uniesioną głową.

– Co ona robi? – zapytała.

– Ukarze mnie – odparł. Psy wyczuły jego nastrój i trzymały się blisko, rzucając w górę zatroskane spojrzenia.

– Jak? Bólem?

Tym też, pomyślał.

– Zabije psy. Wie, co jest dla mnie najważniejsze i w jaki sposób może najmocniej mnie zranić.

Zatrzymali się przed wysokimi drzwiami prowadzącymi do sali.

– A co zrobi ze mną?

Położył dłoń na dużej, srebrnej kłamce

– Będziesz musiała umrzeć, Sundee Gareaux. Jeżeli tylko zdołam, postaram się, żebyś nie cierpiała.

Przez jej twarz przemknął grymas strachu, ale zaraz potem skinęła głową i nawet lekko się uśmiechnęła. Aandred pchnął drzwi i weszli do środka.

Na drugim końcu komnaty srebrzyste ciało Droam chodziło w te i z powrotem, przemierzając ozdobną posadzkę drobnymi kroczkami.

– Chodźcie tu! – ryknęła głosem, w którym nie było już nic pięknego. – Chodźcie szybko! Jest kilka rzeczy, które muszę zrobić tymi rękami!

Aandred zerknął w bok: Sundee drżała, ale w pełni panowała nad swoim ciałem. Jest wspaniała, pomyślał. Wspaniała.

Kiedy mijali pulsującą światłem studnie, jego dłoń pomknęła błyskawicznie do schowka w biodrze i wydobyła czarodziejską piłeczkę. Nie dał sobie ani chwili na zastanowienie, tylko tym samym ruchem rzucił ją w dół, do ziejącego w podłodze otworu. Zamknięty w piłeczce homunculus krzyknął rozdzierająco.

– Bierzcie! – wrzasnął Aandred.

W tym samym ułamku sekundy Droam zaczęła go zabić, padł na posadzkę, ale nim zdążył skonać, ona przeniosła swoją uwagę na psy.

Za późno. Co prawda jeden zamarł w chwili, gdy sprężył się do skoku, ale pozostałe runęły na czasie pola siłowego, która pękła z cichym trzaskiem implozji i stalowe ciała dotarły do powierzchni myślowego ośrodka zamku. Staraly się dopaść piłki, grzebiąc wściekle łapami i rozrywając delikatne, krystaliczne włókna, aż wreszcie Droam zamieniła się w stertę błyszczących odłamków.



Aandred, macając na oślep rękami, zdołał wreszcie unieść się na kolana. Ciało Droam przewróciło się i leżało teraz bez ruchu twarzą do podłogi. Po wszystkich pomieszczeniach zamku zaczęła rozprzestrzeniać się wielka pustka, docierając nawet do jego najodleglejszych zakątków. Niebawem do uszu Aandreda dotarły pierwsze, słabe krzyki.

Kilka lat później mniej więcej dziesięcioletni, rudowłosy chłopiec prowadził swą młodszą siostrę wijącą się przez zielony las ścieżką. Po pewnym czasie dotarli do siedzącej na kamiennej ławce postaci z czarnego metalu, trzymającej dłoń na grzbiecie rdzewiejącego, stalowego psa. Dwa takie same psy leżały u stóp posągu. Jego twarz o okrutnych, błyszczących oczach była wykrzywiona wściekłym grymasem. Dziewczynka przestraszyła się.

– Jaki brzydki! – powiedziała.

– Nigdy tak nie mów – skarcił ją poważnym tonem chłopiec. – Kiedy tu przybyliśmy po raz pierwszy, wraz ze swymi psami zabił sto potworów i bronił nas przed pozostałymi tak długo, aż wszystkie się zużyły. Gdyby nie on, już byśmy nie żyli!

– W takim razie dlaczego jest tutaj zupełnie sam?

Twarz chłopca pokryły ponure zmarszczki, jakby przypominał sobie wydarzenie zbyt bolesne, jak na swoje lata.

– Kiedy potwory zniknęły, on robił się coraz powolniejszy, aż pewnego dnia przyszedł tutaj z tymi psami, które mu jeszcze zostały. Przez całe lato mrugał do mnie zawsze, kiedy przychodziłem go odwiedzić, ale ostatniej wiosny przestał.

– To smutne

– Tak.

Po chwili odwrócili się i zaczęli schodzić ze wzgórza do swojego domu.

---

waldi0055

waldi0055